

# Barbara Cartland

## Poskromienie Lady Lorindy

The taming of lady Lorinda



## Rozdział 1

1794

Mężczyzna w Zielonej Masce spoglądał w dół, na salę balową. Pod kryształowymi kandelabrami wirował kalejdoskop barw i blasków. Gości zachęcono do przebrania się wedle ich fantazji i - co było do przewidzenia - na balu pojawił się tuzin Kleopatry, spora liczba błaznów oraz mnóstwo elżbietańskich kryz i przybrań głowy.

Przez chwilę stał nieruchomo, przyglądając się parom, które poruszały się w takt muzyki dolatującej z galerii dla grajków, po czym nieco zdziwiony zwrócił się do stojącego obok przyjaciela

- Myślałem, że zabierasz mnie na bal, gdzie spotkam wytworne towarzystwo.

- Właśnie na nim jesteś - odparł przyjaciel.

- Czy nie są to po prostu piękne rozpustnice?

- Ależ skąd! Damy z wyższych sfer, perły najszlachetniejszych rodów w kraju.

- Trudno mi w to uwierzyć - mówił Mężczyzna w Zielonej Masce, nie patrząc ani na kapryśne czerwone wargi wychylające się spod aksamitnych maseczek, ani na przelotne błyski oczu, ani nawet na strojne klejnotami krągłe, białe szyje. Przyglądał się natomiast różowym wzgórkom piersi prześwitującym spod przezroczystych szat, które zdawały się raczej odkrywać, niż przesłaniać zaokrąglenia smukłych bioder i nagie, pięknie rzeźbione nogi.

- Czyja rzeczywiście jestem w Anglii? - wykrzyknął w końcu.

Jego przyjaciel się roześmiał.

- Zbyt długo cię nie było. Wiele się tu zmienia i, jak się niebawem przekonasz, nie zawsze na lepsze.

- Kiedy wyjeżdżałem za granicę - powiedział Mężczyzna w Zielonej Masce - kobiety były czcigodne, skromne, posłuszne i uległe wobec swoich mężów.

- To już zupełnie wyszło z mody - odpowiedział jego rozmówca - dziś słaba płeć nabiera siły. Kobiety bywają na wyścigach konnych i gonitwach powozów, uczestniczą w polowaniach, grają ze sobą w krykieta, a nawet - jak w przypadku księżniczek - w piłkę nożną.

- Dobry Boże!

- Uważają się za równe mężczyznom i podkreślają to strojem.

- Zauważyłem, że zniknął puder.

- Tak, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn, dzięki Bogu! Tę modę au naturel zawdzięczamy księciu Walii.

- Dla nas to zbawienne - zauważył Mężczyzna w Zielonej Masce - ale co do kobiet, skłonny, byłbym się spierać.

- Nowa moda wymaga fryzur a la męczennik. Jest to, jak się domyślasz, rewolucyjny wynalazek rodem z Francji - powiedział ze śmiechem jego towarzysz, robiąc przy tym wymowny gest ręką, po czym ciągnął dalej:

- Zniknęły wysokie, wypracowane fryzury ancien regime'u. Teraz mamy rozwiane wiatrem, umyślnie zmierzwione loki i cieniutką, purpurową wstążkę wokół szyi, by spotęgować wrażenie.

- Wziąwszy pod uwagę katusze zadawane na gilotynie, jest to w bardzo złym guście! - zauważył Mężczyzna w Zielonej Masce.

- Mój drogi przyjacielu, wiele rzeczy, które robimy, jest w bardzo złym guście, a mimo to nie przestajemy ich / robić.

Spojrzał szelmowsko na swego towarzysza, po czym ciągnął dalej:

- Szaty noszone w Carlton House wcale nie zakrywają piersi i często uszyte są z tkanin, które już nic nie pozostawiają wyobraźni.

Mężczyzna w Zielonej Masce nie odpowiedział. Wciąż przyglądał się tancerzom wirującym na parkiecie. Zauważył przy tym, że taniec nabiera szaleńczego tempa, a ruchy tancerzy stają się egzaltowane.

- Może ci się wydać, że jestem staromodny... - zaczął, ale głos mu zamarł.

W ten upalny czerwcowy wieczór wysokie okna w stylu francuskim, prowadzące do ogrodu, były szeroko otwarte. I tamtędy właśnie, ku ogólnemu zaskoczeniu, wkroczył na salę czarny koń.

Na pierwszy rzut oka kobieta, która go dosiadała, sprawiała wrażenie kompletnie nagiej. Jedyne jej długie, złocistorude włosy, sięgające poniżej talii, stanowiły jakąś osłonę.

Dopiero po bliższym przyjrzeniu się widzowie zauważyli, że przednia i tylna część bogato zdobionego meksykańskiego siodła jest podwyższona oraz że włosy kobiety ułożone są w taki sposób, żeby odsłonięte zostały tylko ramiona i nogi.

Kobieta dosiadała konia po męsku, co było już aktem odwagi, a ponadto, jakby lekceważąc przebranie, nie miała maski.

Ogromne zielone oczy, które zdawały się wypełniać całą jej twarz, błyskały rozbawieniem.

Mężczyzna w Zielonej Masce odzyskał głos.

- Wielki Boże! A któż to jest?

- To jest - odpowiedział jego towarzysz - lady Lorinda Camborne, największa z nich wszystkich trzpiotka.

- Czy to możliwe, że pochodzi z dobrej rodziny?

- Jej ojciec jest hrabią Camborne i Cardis.

- Gdyby miał trochę oleju w głowie sprawiłby córce solidne lanie i zabrał do domu.

- Mało prawdopodobne, by się o tym dowiedział, jako że nie odrywa oczu od karcianego stolika.

- Jest hazardzistą?

- Zagorzałym!

- A ileż lat ma ta dziewczyna?

- Lady Lorinda ma, jak sędzę, 20 lat. I o ile mi wiadomo, od dwóch lat jest pupilką na dworze.

- Czy to możliwe, że jest podziwiana?

- Jesteś zbyt surowy! Być może zachowuje się w sposób trochę naganny i nie przeczę, że jej wyczyny stale dostarczają żeru plotkarzom, ale jest za to wyjątkowo, rzekłbym nawet obezwładniająco, piękna.

Mężczyzna w Zielonej Masce nie odpowiedział. Obserwował lady Lorindę, która objeżdżała salę balową na swym wspaniałym karym ogierze.

Tancerze zatrzymali się, by ją oklaskiwać, wszyscy mężczyźni wykrzykiwali słowa zachęty, wielu rzucało kwiaty, kiedy ich mijała.

- W Klubie White'a postawiono zakład, że nie pokaże się naga - usłyszał Mężczyzna W Zielonej Masce. - I właśnie wygrała zakład! W związku z tym spore sumy zmieniają właścicieli - jak zresztą po każdym skandalicznym wybryku, w którym bierze udział.

Okrążywszy dwukrotnie salę balową, lady Lorinda podziękowała skinieniem za aplauz, po czym równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła, zniknęła w oknie wychodzącym na ogród.

- Czy już się tu dzisiaj nie pokaże? - chciał wiedzieć Mężczyzna w Zielonej Masce.

- Skądże znowu! Jaśnie panienska powróci przystrojona w jakiś szalony kostium i na pewno nie będzie to nic takiego, co

by jej groziło anonimowością. Bal opuści jako jedna z ostatnich.

- Czy ona lubi takie występy? - Było coś pogardliwego w tym pytaniu.

- Najwidoczniej! Na tym upływa jej życie - co wieczór przyjęcia, zwariowane eskapady do Vauxhall lub innych, mniej wytwornych miejsc. Gdziekolwiek się pojawi, pozostawia za sobą złamane serca.

Po chwili towarzysz ciągnął dalej:

- Jest wiele opowieści o lady Lorindzie. Według ostatniej markiz Queensbury...

- Dobry Boże, czy ten stary cap jeszcze się tu pojawia? - przerwał Mężczyzna w Zielonej Masce.

- Tylko śmierć położy kres jego bezceństwu! Otóż markiz postanowił odegrać rolę Parysa, który orzeka, kto otrzyma złote jabłko z inskrypcją „dla najpiękniejszej”.

- Jeżeli dobrze pamiętam, to trzy boginie ubiegały się o ów zaszczyt.

- Tak, masz rację.

- I wszystkie były nagie?

- Oczywiście!

- I w sądzie markiza jedną z nagich „bogiń” była lady Lorinda?

- W istocie, tak mi powiedziano.

- I mężczyźni kochają się w takiej kobiecie?

- Oczywiście! I przynajmniej w jednym względzie muszę oddać jej sprawiedliwość jest kobietą odważną, z charakterem, czego, niestety, często brakuje jej pokoleniu. Nikt nie może jej zignorować.

- Lub nie zauważyć! - stwierdził oziębło Mężczyzna w Zielonej Masce.

- Chyba będę cię musiał jej przedstawić - uśmiechając się powiedział jego towarzysz. - Jaśnie paniące dobrze zrobi

spotkanie z mężczyzną, którego nie zwali z nóg jej uroda i który nie pozwoli się podeptać cudnymi stópkami.

Po chwili dodał:

- Widzę, że tymczasem przybył książę Walii. Chodź, przedstawię cię. Z pewnością będzie zachwycony, mając okazję usłyszeć od ciebie wieści z drugiego końca świata.

Nieco później tego wieczoru Mężczyzna w Zielonej Masce opuścił salę jadalną, gdzie przedtem ucztował przy królewskim stole; w sali balowej było bardzo gorąco, wyszedł więc do ogrodu.

Bał odbywał się w Hampstead. Odnosi się wrażenie, że jest się na wsi - pomyślał Mężczyzna w Zielonej Masce.

W ogrodzie leciutki wietrzyk poruszał gałęziami strzelistych drzew; z klombów unosił się nocny aromat, a wysoko na niebie połyskiwały gwiazdy.

Wciągnął głęboko powietrze w płuca i stwierdził, że bardzo różni się ono od duszącego upału Indii.

Kiedy tak stał samotnie, nagle usłyszał męski głos:

- Na Boga, Lorindo, wysłuchaj mnie. Kocham cię! Wyjdź za mnie, w przeciwnym wypadku, przysięgam, odbiorę sobie życie!

Mężczyzna w Zielonej Masce znieruchomiał. W męskim głosie wyraźnie słyhać było udękę.

- Wyjdź za mnie, Lorindo, a uczynisz mnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

- Który to już raz odmawiam ci, Edwardzie, dziesiąty czy jedenasty?

Mężczyzna w Zielonej Masce zorientował się, że dwoje rozmawiających ludzi znajduje się bardzo blisko, po drugiej stronie cisowego żywopłotu. W ciemnościach nie mógł nic dojrzeć, lecz zdawało mu się, że para siedzi na ławce zwrócona do niego plecami, w odległości zaledwie kilku stóp.

- Prosiłem cię już wcześniej i proszę po raz kolejny - wyjdź za mnie!

- A ja za każdym razem odmawiam. Edwardzie, stajesz się naprawdę niemożliwym nudziarzem! Chciałabym już wrócić do sali balowej.

- Nie odchodź, Lorindo. Błagam, zostań ze mną! Nie będę cię już nudził. Zrobię wszystko, co zechcesz. Wszystko! Gdybyś tylko mogła mnie choć trochę polubić.

- A po cóż? Jeśli zechcę mieć kanapowego pieska, to go sobie kupię.

Głos zabrzmiał szyderczo. Zaraz potem padły słowa:

- Spróbuj mnie tylko dotknąć, a przysięgam, że więcej się do ciebie nie odezwę.

- Lorindo! Lorindo! - Był to okrzyk rozpaczny.

Następnie Mężczyzna w Zielonej Masce usłyszał oddalający się stukot damskich obcasików w alejce i pełen udreki jęk odtraconego.

Zrozumiał, że rozmowa, której się przysłuchiwał, właśnie dobiegła końca. Teraz i on wycofał się do sali balowej.

Nietrudno tam było rozpoznać lady Lorindę. Kiedy wszedł do sali, usłyszał jej wesoły głos. Niewątpliwie zapomniała już o wydarzeniu sprzed paru minut.

Ubrana była wyzywająco - w długi, suto haftowany strój giermka. Ekstrawaganckie, satynowe szarawary wykończone tasiemką ukazywały szczupłe kostki nóg w jedwabnych pończochach. Złocistorude, poskręcane loki upięte pod kapeluszem z piórami wyglądały jak peruka. Twarz przesłaniała maska, lecz nie na tyle, by ukryć jej mały, prosty nos, cudownie wykrojone usta i wyraźnie zarysowany podbródek, wskazujący na wyniosły sposób noszenia głowy.

W rękę trzymała kieliszek wina. Kiedy Mężczyzna w Zielonej Masce wszedł na salę, wznosiła właśnie wraz z całym towarzystwem toast na cześć gospodarza - człowieka w



średnim wieku, o ciemnej karnacji i trochę sardonicznym uśmiechu.

Gospodarz podziękował gościom, przy czym nawet na chwilę nie oderwał oczu od lady Lorindy. Korzystając z okazji, że wzniesiono kielichy, podszedł do niej blisko.

- Pozwól, że zabiorę cię do ogrodu. Chciałbym z tobą porozmawiać - zaproponował.

Stali na tyle blisko Mężczyzny w Zielonej Masce, że mógł on słyszeć, o czym mówią.

- Właśnie stamtąd wróciłam - odpowiedziała lady Lorinda, wydymając wargi. - Jeśli masz zamiar robić mi miłosne wyznania, Ulriku, to pozwól, że cię uprzedzę, iż nie mam do tego nastroju.

- Skąd przypuszczenie, że takie są moje intencje?

- Ponieważ wszyscy mężczyźni mówią wyłącznie o miłości - oświadczyła. - Czyż nie ma innych tematów do konwersacji?

- Nie, kiedy rozmawia się z tobą!

- Miłość mnie nudzi. Ten temat zupełnie mnie nie interesuje. Musisz mówić o czymś innym, jeżeli chcesz mnie zabawić.

- Jak widzę, ciągle chcesz uchodzić za kobietę bez serca.

- Ja niczego nie udaję, po prostu taka jestem! Przejdźmy do sali jadalnej. Zaczynam odczuwać głód.

Mężczyzna w Zielonej Masce spoglądał za odchodzącymi.

- Mówiłem ci, że jest piękna, lecz nieobliczalna - skomentował jakiś głos obok; należał do przyjaciela, który go tutaj przyprowadził.

- Czy wszyscy padają jej do stóp i tańczą tak, jak im zagra? - zapytał go.

- Wszyscy są jej posłuszni.

- A jeśli ktoś nie posłucha?

- Przestaje być zaliczany do kręgu znajomych. Ten ostracyzm, jak mi mówiono, jest gorszy niż ekskomunika.

Mężczyzna w Zielonej Masce roześmiał się.

- Odnoszę wrażenie, że kiedy mnie tu nie było, wszyscy straciliście poczucie własnej wartości lub może raczej poczucie humoru?

Dużo później, kiedy sale balowe opustoszały, a blade światło poranka zaczęło oczyszczać niebo z gwiazd, dwaj przyjaciele minęli bramę i wyjechali na gościniec.

Jechali dwukółką zaprzęzoną w parę pięknych koni. Na stopniach z tyłu stał służący.

- Czy dobrze się bawiłeś? - zwrócił się powożący do swego towarzysza.

Mężczyzna, który już nie miał na sobie zielonej maski, odparł z rozbawieniem:

- Rzeczywiście, wyjątkowe przeżycie! Spodziewałem się tu zmian, ale to, co zobaczyłem, przeszło moje oczekiwania.

- Masz na myśli mężczyzn czy kobiety?

- Przede wszystkim zaskoczył mnie książę. Roztył się, a poza tym nie jestem pod wrażeniem jego wesołych kompanów.

- Nie dziwię się. A co sądzisz o kobietach? Czy bardzo cię zgorszyły?

Właściciel zielonej maski roześmiał się.

- Zapewniam cię, że mało co jest w stanie mnie zgorszyć. Ale istotnie, ogarnia mnie przerażenie na myśl, że te nieprzyzwoite, nieodpowiedzialne istoty będą matkami następnego pokolenia.

- Czy zamierzasz jakoś temu zaradzić?

- A co proponujesz?

- Nawróć lady Lorinę! Cóż to za wyzwanie dla mężczyzny!

- To mogłoby się udać

- Komuż udało się poskromić tygrysicę! Testem gotów założyć się o każdą sumę, jaką tylko zechcesz wymienić, że jest to absolutnie i bezwarunkowo niemożliwe!

Właściciel zielonej maski milczał przez chwilę, po czym rzekł powoli:

- Tysiąc gwinei.

- Mówisz poważnie? - z niedowierzaniem zapytał przyjaciel i natychmiast dodał uradowany:

- Przyjmuję zakład! Nie przepuściłbym okazji, aby się przekonać o wyniku tego herkulesowego zamierzenia, nawet za sumę dziesięciokrotnie wyższą.

Niewiele ujechali, gdy zawołał:

- O tygryscy mowa, a oto i ona, tuż przed nami!

Wskazał na wzgórze prowadzące do Hiszpańskiej Gospody, na które wjeżdżał czarny powóz z herbem Camborne'ów na kasetonach bocznych drzwi.

Powóz niczym by się nie wyróżniał, gdyby nie liberie stangretów i stojących z tyłu lokajów; zamiast zwyczajowo używanych przez arystokrację kolorów błękitu, zieleni czy winnej czerwieni, świta lady Lorindy wystrojona była w biel połączoną ze srebrem.

Właściciel zielonej maski przyglądał się im ze zdumieniem. Powóz wjechał właśnie na wzgórze, minął niewielką przestrzeń między Hiszpańską Gospodą a rogatkami, gdy nagle gwałtownie się zatrzymał.

- Co się tam stało? - zaniepokoił się powożący i zaraz wykrzyknął: - Mój Boże! Rozbójnicy! Jaśnie panienka została napadnięta!

Zaciął konie, lecz w tym samym momencie rozległ się głośny wystrzał z pistoletu i zobaczyli, że rozbójnik stojący w otwartych drzwiach powozu runął do tyłu, na pobocze drogi.

Drugi rabuś rzucił się do ucieczki.

Zanim jednak zdążyli tam dojechać, zobaczyli, jak stojący z tyłu sługa, ciągle z rękami w górze, zachwiał się szarpnięty gwałtownie przez ruszający powóz lady Lorindy.

Dwukółka zatrzymała się przy rozbójniku. Leżał w rowie z szeroko rozrzuconymi rękami. W jednym ręku ciągle trzymał pistolet. Pomimo że miał maskę na twarzy, wyglądał na odrażającego draba. Na piersiach widoczna była ogromna, czerwona plama krwi. Służący zeskoczył na ziemię i podszedł do rabusia.

Jest całkiem martwy, jaśnie panie - oświadczył.

Mężczyzna trącił konie batem. - W takim razie to już nie nasza sprawa - odparł i ruszyli dalej.

Chwilę milczeli. Pierwszy odezwał się właściciel zielonej maski:

- Jak sądzisz, czy był ktoś w powozie z dziewczyną, czy to ona sama zastrzeliła rabusia?

- Oczywiście, że sama go zastrzeliła! Jest to zresztą nie pierwszy tego rodzaju wypadek!

Mówił dalej z rozbawieniem:

- Oto masz znakomity przykład, w jaki sposób współczesne młode niewiasty potrafią same sobie poradzić. Opowiadano mi już, jak lady Lorinda traktuje rabusiów i złodziei. Dzisiaj mogłem się o tym sam przekonać.

Roześmiał się i dodał:

- Kiedy rozbójnik otwiera drzwi powozu, ona mierzy prosto w serce i naciska spust. Jasne, że nie strzela na postrach. Służba nie musi się nawet troszczyć o ochronę swojej pani.

- To niesłychane! - zauważył jego przyjaciel. - Za moich czasów kobiety szłochałyby z trwogi i czekały, aż obroni je dzielne męskie ramię.

- Jeżeli pociągają cię panny słabe, płochliwe i typu kobiety - bluszczu, to znam kilka takich. A gdy się dowiedzą o

twoim majątku, to możesz być pewien, że skłonne będą przywiązać się do ciebie jeszcze bardziej.

Słowa te pozostały bez odpowiedzi i w milczeniu pojechali dalej przez Hampstead Heath.

W swoim powozie lady Lorinda zamknęła oczy i oparła głowę o poduszki. Zanim jednak pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia, powtórnie naładowała pistolet, który spoczywał teraz na jej kolanach. W Hampstead Heath rozbójnicy nie należeli do rzadkości. Lorinda pomyślała, że niewiele się różnią od jej niedoszłych zalotników nagabujących ją bez względu na to, jak brutalnie stara się uwolnić od ich płaczliwych zalotów.

Lord Edward Hinton był tylko jednym z wielu adoratorów, którym odmowa nie starczała za odpowiedź.

Przypomniała sobie, jak naprzykrzał się przez cały wieczór i postanowiła, że w przyszłości postawi sprawę jasno - jeżeli Edward zostanie zaproszony na przyjęcie, to ona odmówi w nim udziału.

Żadne jej słowa ani czyny nie mogły go powstrzymać przed ciągłymi próbami oświadczenia się jej i, jak sama to określała, „robienia z siebie potwornego nudziarza”.

Ich dzisiejszy gospodarz, lord Wroxford, był niewiele lepszy. Choć równie natrętny, przynajmniej nie mógł zaproponować jej małżeństwa. A to z tej prostej przyczyny, że miał już żonę. W związku z tym łatwiej było zbywać jego propozycje żartem jako całkowicie nieprzyzwoite. Mogła to robić, ponieważ dla obojga było jasne, że prędzej poleciałyby na Księżyc, niż uległa jego namowom.

Mimo wszystko Ulrik nie rezygnował. Był przy tym jednak zabawny, dowcipny, cyniczny. Inaczej niż Edward, który tak często groził jej samobójstwem, jeżeli go nie poślubi, że nudził ją, zanim w ogóle zdążył otworzyć usta.

Jednakże Edward był bardzo odpowiednim kandydatem na męża, ponieważ zawsze istniała możliwość, że jego starszy brat nadal będzie płodził wyłącznie córki, nie da rodowi męskiego potomka i pewnego dnia Edward zostanie księciem.

- Gdybym była rozsądna, wyszłabym za niego - mówiła sobie Lorinda - ale czy potrafiłabym tolerować przez resztę życia te ciągle skamlenia?

Tak samo myślała o innych mężczyznach, choć wielu z nich mogło jej ofiarować nie tylko równie duży majątek, ale także wysoką pozycję.

Lorinda zdawała sobie sprawę, jak nietrwała jest jej władza nad kapryśnym, zmiennym, wiecznie szukającym uciech tłumem - jednakowo gotowym wielbić, jak i szydzić, w zależności od nastroju.

- Czego pragnę? - pytała siebie, kiedy powóz zjeżdżał już ze wzgórza Hampstead i niebezpieczeństwo minęło.

Nagle wydało się jej, że widzi wszystkie te nie kończące się bale i przyjęcia, ciągle w tym samym rozpustnym towarzystwie, które świetnie знаła ze wspólnych wypraw z Londynu do Brighton, na wyścigi do Newmarket, do Bath, aby zażyć morskich kąpiel i z powrotem do Londynu na następną rundę szalonych uciech.

Czy tego właśnie pragnęła od życia?

Jutro na pewno wszystkie matrony będą z dezaprobatą paplały jak papugi o jej występie w przebraniu Lady Godivy.

Lord Barrymore, ten rozpustnik zasiadający w Izbie Lordów, założył się, że Lorinda nie przyjmie wyzwania. Tymczasem było to dla niej wystarczającą zachętą, by wywołać skandal, jak zawsze w podobnych sytuacjach.

- Mogę robić, co mi się podoba - oświadczyła głośno.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak opowieść o jej zachowaniu zostanie z najdrobniejszymi szczegółami powtórzona królowi i królowej na zamku Windsor. A oni z

pewnością przypiszą to zgubnemu i deprawującemu przykładowi księcia Walii.

- Para starych kabotynów! - oburzyła się Lorinda. Podróż właśnie dobiegła końca i powóz podjechał pod dom Camborne'ów przy Hanover Square, co dziewczyna przyjęła z wyraźną ulgą.

Był to duży, niewygodny i niezbyt ładny budynek wzniesiony przez jej dziadka, siódmego hrabiego Camborne.

Lorinda robiła, co mogła, aby go przyozdobić według własnych pomysłów.

Drzwi powozu otworzył lokaj w białej - srebrnej liberii, którą sama projektowała. Pomyślała, że strój taki wygląda z pewnością mniej ponuro niż w czasach jej dzieciństwa.

- Czy jego lordowska mość jest w domu, Tomaszu? - zapytała.

- Tak, jaśnie panienko. Jego lordowska mość przybył pół godziny temu i jest w tej chwili w bibliotece.

- Dziękuję, Tomaszu.

Lorinda rzuciła płaszcz na fotel i przeszła do biblioteki. Nie zauważyła, że odprowadzało ją przerażone spojrzenie, jakim lokaj obrzucił jej męski strój.

Kiedy otworzyła drzwi, ojciec siedział za biurkiem na środku pokoju i ładował pistolet.

Hrabia Camborne i Cardis ze zdumieniem popatrzył na wchodzącą córkę. Był przystojnym, siwiejącym mężczyzną. Niezdrowa cera zdradzała człowieka, który nie przebywa wystarczająco dużo na świeżym powietrzu - pokoje do gier rzadko bywają wietrzone.

Nienaturalnie szybkim ruchem odłożył trzymany w ręku pistolet i ze zdziwieniem zauważył:

- Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie, Lorindo. - Co się stało, papo? Tylko mi nie mów, że właśnie zamierzasz się pojedynkować!

Ojciec nie odpowiedział. Lorinda podeszła bliżej do biurka, stanęła obok i popatrzyła na niego karcąco.

- Powiedz mi, papo.

Wydawało się, że hrabia odmówi. Po chwili jednak osunął się na oparcie fotela i wyrzucił z siebie:

- Zamierzałem się właśnie zastrzelić!

- Nie mówisz chyba poważnie, papo!

- Straciłem cały nasz majątek.

Na moment Lorinda znieruchomiała, potem usiadła na krześle naprzeciw ojca.

- Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Grałem z Charlesem Foxem - odparł.

Dziewczyna zacisnęła usta. Charles Fox był najgroźniejszym przeciwnikiem, jakiego ojciec mógł sobie wybrać.

Ten brzuchaty polityk z partii wigów wyróżniał się nie tylko podwójnym podbródkiem, krzaczastymi brwiami i ogólnie niechlujnym wyglądem, ale też niesłychaną elokwencją i niezwykłym wdziękiem.

Znienawidzony przez króla, w konsekwencji został bliskim przyjacielem księcia Walii. W pewnym okresie stosunek księcia do niego był prawie bałwochwalczy.

Syn wyjątkowo bogatego człowieka, rozwinął w sobie nienasyconą pasję do hazardu. Kiedy miał szesnaście lat, razem z bratem przegrał w Eton trzydzieści dwa tysiące funtów w ciągu jednego wieczoru.

To ironia losu, pomyślała Lorinda, że jedną z nielicznych okazji do zwycięstw musiał dostarczyć Charlesowi Foxowi właśnie ojciec.

Następne słowa potwierdziły jej obawy.

- Wygrywałem, Lorindo - powiedział zmęczonym głosem

- wygrywałem wysoko, kiedy szczęście uśmiechnęło się do



Foxa. Myślałem, że to nie potrwa długo, ale kiedy wstawałem od stolika, byłem bankrutem.

Po krótkiej chwili Lorinda spokojnie zapytała:

- Ile przegrałeś?

- Sto tysięcy funtów!

Dla wielu graczy w Klubie White'a nie była to suma; astronomiczna, ale dla nich obojga było to absolutną klęską.

Mieli dom w Londynie i rezydencję rodzinną w Kornwalii, lecz dochody stosunkowo niewielkie. Żyli ekstrawagancko i sprawiali wrażenie ludzi zasobnych tylko dlatego, że oboje byli optymistami i zawsze szczerze wierzyli, że „jakoś to będzie”. Kiedy hrabia miał dobrą passę, Lorinda odbierała mu wygrane, zanim zdążył je z powrotem roztrwonić. Jednak nigdy przedtem jego przegrane nie sięgnęły sumy stu tysięcy funtów!

- Jedno mi pozostało w tej sytuacji - chrapliwie rzekł hrabia. - Zastrzeżę się. Fox nie będzie domagał się zwrotu długu, jeśli mnie już nie będzie.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, papo - odrzekła Lorinda - że jest to dług honorowy i że będę zobowiązana go w jakiś sposób spłacić.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście! I powiem więcej, że jeśli zamierzasz zostawić mnie teraz z tym wszystkim na głowie, to robisz mi wielkie świństwo! - powiedziała z wyrzutem, po czym wstała i podeszła do okna, aby rozsunać ciężkie aksamitne zasłony.

Świt się budził i pierwsze nieśmiałe złote promyki ukazały się ponad dachami.

- Pomyślałem - niepewnie wyznał hrabia - że jeśli umrę, Fox uzna dług za nieważny i będzie to najprostsze wyjście.

- Proste dla ciebie, ale nie dla mnie - spokojnie odparła Lorinda. - W przeszłości Camborne'owie wyczyniali różne rzeczy, ale na pewno nie byli tchórzami!

- Psiakrew! Nie pozwolę, żebyś nazywała mnie tchórzem!  
- ostro powiedział ojciec.

- Trudno mi sobie wyobrazić większe tchórzostwo, niż zostawienie mnie samej na pastwę losu - odpowiedziała. Hrabia energicznie odsunął pistolet.

- Jeśli tak do tego podchodzisz, to proszę bardzo, spróbuj znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji!

- Ależ to zupełnie proste! - oświadczyła odwracając się od okna.

- Nie widzę tu nic prostego.

- W takim razie ja ci podpowiem. Będziemy musieli sprzedać ten dom, a także cały nasz dobytek. Uzyskamy w ten sposób całkiem sporą sumę. Sami natomiast przeniesiemy się do Kornwalii.

- Do Kornwalii?

- A czemuż by nie? Dopóki i tej ruiny nie sprzedamy, jeżeli ktoś cokolwiek za nią zaoferuje!

Hrabia uderzył pięścią w biurko z taką mocą, że podskoczył kałamarz.

- Nie sprzedam siedziby moich przodków, która pamięta czasy sprzed podboju normańskiego! - wykrzyknął. - I chociaż nie mam dziedzica, żaden Caraborne nie upadł nigdy tak nisko, żeby sprzedawać rodzinne gniazdo!

Lorinda wzruszyła ramionami.

- Będziesz zmuszony - odpowiedziała. - Wątpię, czy za ten dom wraz z całą jego zawartością, nie wyłączając klejnotów mamy, dostaniemy choć marne pięćdziesiąt tysięcy.

Ojciec ukrył twarz w dłoniach.

- O Boże! Dlaczego, u diabła, byłem takim głupcem? - jęknął.

- Żal na nic się tu nie zda - chłodno odparła Lorinda - musimy podejść do tego praktycznie, papo, a to oznacza, że sama będę musiała zająć się tą sprawą. Ty natomiast poprosisz

Charlesa Foxa, aby trochę poczekał na zwrot długu. Z pewnością nie zdołasz zebrać stu tysięcy w ciągu zwyczajowych dwu tygodni.

- Czy będę musiał paść przed nim na kolana i doświadczyć wszystkich możliwych upokorzeń? - zapytał ze złością hrabia.

- To twój dług - odparła Lorinda.

Popatrzył na nią i coś, co zobaczył w jej zielonych oczach, wzbudziło jego gwałtowną reakcję:

- Wielki Boże! Mogłabyś okazać mi choć trochę sympatii i zrozumienia! Nie masz żadnych uczuć dla mnie ani dla nikogo?

- Jeżeli już chcesz znać prawdę - odpowiedziała - to gardzę tobą...

Przerwała, a kiedy ojciec nic nie odpowiedział, ciągnęła dalej:

- Gardzę tobą, podobnie jak gardzę wszystkimi mężczyznami. Wszyscy jesteście tacy sami. Słabi jak dzieci, kiedy chodzi o wasze żądze. Za to od kobiety oczekujecie, żeby użalała się nad waszą głupotą i opłakiwała wasze upadki. Więc pozwól, że cię uprzedzę, abyś niczego takiego ode mnie nie oczekiwał.

Wzięła pistolet z biurka i powiedziała ostro:

- Zabieram to ze sobą na wypadek, gdybyś jednak - nie był godzien zaufania. Od jutra zacznę wyprzedawać mój rodzinny dom i postaram się wytargować jakąś okrągłą sumkę za skarby, które przez wieki gromadzili nasi przodkowie, i za biżuterię, która sprawiała mamie tyle radości.

Podeszła do drzwi i odwróciła się, żeby popatrzeć na ojca. Światło świec zalśniło w jej rudych włosach.

- A jeśli ta sytuacja jest dla ciebie zbyt przygnębiająca - dodała pogardliwie - proponuję, byś natychmiast udał się do

Kornwalii i chociaż spróbował doprowadzić do porządku ruiny, które tam pozostały.

Następnego ranka Lorinda obudziła się z głębokiego snu i podczas gdy pokojówka rozsuwała kotary, przypomniała sobie, jakie zadanie miała tego dnia wykonać.

Nie czuła strachu, jaki zapewne odczuwałoby wiele dziewcząt, będących w jej sytuacji. Nie przerażały jej ogromne trudności i świadomość, że zupełnie nie może liczyć na własnego ojca.

Matka Lorindy zmarła, kiedy dziewczynka miała dwanaście lat. Chociaż wspominała ją z miłością, wydawało się jej, że niewiele ma wspólnego z tą słabą, delikatną istotą, która uważała ojca za wspaniałego człowieka i akceptowała jego lekkomyślny styl życia, nigdy nie podejmując żadnego wysiłku, żeby zmienić męża.

Lorinda odziedziczyła cechy swoich przodków, którzy uczestniczyli w wielkich, zwycięskich bitwach toczonych przez Kornwalijszyków przeciwko niezliczonym wrogom.

Kornwalia była ostatnim skrawkiem Brytanii, który podporządkował się anglosaskim najeźdźcom, a Camborne'owie walczyli dalej przeciwko królowi Egbertowi, odmawiając uznania jego zwierzchności.

Dziewięćdziesiąt lat później pomogli królowi Athelstanowi oderwać zachodnią Walię od Exeteru i w ten sposób uczynić Tamar granicą swoich ziem.

Wieki całe Camborne'owie byli niezależni: walczyli w obronie Lancasterów, a także wyróżnili się wśród wojsk sir Bevila Grenville'a, które zwyciężyły armię parlamentu pod Bradock.

W żyłach Lorindy płynęła ognista krew, czego nie można było powiedzieć o jej ojcu. Nigdy nie uznawała niczyjej dominacji i od dzieciństwa wciąż buntowała się przeciwko autorytetom.

„Wijesz się i robisz uniki, żeby tylko nie robić tego, co ci każe. Podobnie jak ci kornwalijscy siłacze walczący ze sobą w Agincourt" - usłyszała w dzieciństwie od niani. I teraz też próbowała stawić czoło przeciwnościom losu, byleby nie poddać się temu, co nieuniknione, a z czym hrabia, wydawało się, już się pogodził.

Lorinda milczała, kiedy pokojówka pomagała jej się ubrać i ułożyć włosy w stertę zmierzwionych loków - fryzurę, która wyjątkowo korzystnie wyglądała przy jej małej, owalnej twarzy.

Lorinda nie była niska - w zasadzie przewyższała wzrostem inne kobiety - ale była tak smukła i pełna wdzięku, że mężczyźni instynktownie pragnęli ją ochraniać; wówczas mieli okazję przekonać się o jej żelaznej woli i niepohamowanej dumie, zwykle me idących w parze z kobietą, delikatną urodą.

Była bez wątpienia piękna. A jednak przeglądając się w lustrze, Lorinda rozważała, czy uroda kiedykolwiek przyniosła jej szczęście.

Wiedziała, że gdyby poprosiła o radę którąś z dam często towarzyszących jej na prośbę ojca przy różnych okazjach, od czasu kiedy zaczęła bywać w salonach Londynu, wszystkie powiedziałyby jej to samo:

- Wyjdź bogato za męża.

Słyszała już, jak wypowiadają tę samą radę, wiedząc, że z łatwością mogłaby przyjąć oświadczenia Edwarda Hinton, Anthony'ego Dawlisha, Christophera Conwaya lub jakiegoś innego młodego arystokraty, który oddał jej swoje serce.

Z pewnością wszyscy oni z wielkim zapałem przybyliby tutaj - pomyślała, kończąc toaletę - gdybym tylko wysłała im bilecik z wezwaniem.

Może jednak to „coś”, co odziedziczyła po przodkach, sprawiało, że czuła obrzydzenie na myśl o zamażpójściu z rozsądkiem.

Zeszła na dół z wysoko uniesioną głową, zajęta planowaniem i opracowywaniem strategii, jakby była mężczyzną idącym na wojnę, a nie kobietą, która nic nie powinna wiedzieć o takich sprawach.

Weszła do biblioteki, gdzie przekonała się, że ojciec w ogóle nie kładł się do łóżka. Noc spędził w wysokim fotelu obok kominka, a stojąca przy nim pusta karafka wymownie świadczyła o tym, co robił.

Lorinda potrząsnęła go mocno za ramię.

- Obudź się, papo!

Wczoraj podczas rozmowy nie uszło jej uwagi, że pił. To, co wlał w siebie po jej wyjściu, sprawiło, że oczy miał przekrwione, a dookoła unosiły się opary alkoholu.

- Obudź się, papo! - powtórzyła i dopiero teraz hrabia otworzył oczy.

- Ach, to ty, Lorindo. O co chodzi?

- Chciałabym, abys się umył i ubrał - odpowiedziała. - Już rano i śniadanie jest na stole, gdybyś miał na nie ochotę.

Hrabia wzdrygnął się cały.

- Daj mi coś mocniejszego!

Lorinda nie oponowała. Podeszła do barku w rogu biblioteki i nalała szklanekę mocnej brandy. Podała mu ją z obrzydzeniem.

Hrabia wychylił do dna.

- Która godzina?

- Dziewiąta. Jedziesz do Konwalii, papo, czy też zostajesz tu ze mną? Ostrzegam cię jednak, że to nie będzie przyjemne. Zamierzam zwolnić służbę, jak tylko zjemy śniadanie.

Pokrzepiony brandy, hrabia wstał.

Któryś ze służących musiał już wcześniej zajrzeć do biblioteki, bo zasłony były rozsunięte. Słońce wlewało się do środka przez okna, z których jedno wychodziło na małe podwórko znajdujące się za domem. Patrząc na klomby pełne różnobarwnych kwiatów, Lorinda myślała o tym, ile pieniędzy pochłaniało sadzenie ich i pielęgnowanie przez ogrodnika, który przychodził cztery razy w tygodniu.

- Jest jeszcze coś, o czym nie powiedziałem ci w nocy - rzekł po chwili hrabia.

- Cóż takiego?

- Nie pozwoliłaś mi wczoraj załatwić tego honorowo, tak jak zamierzałem, więc równie dobrze mogę ci powiedzieć prawdę.

- Prawdę? - ostro zapytała Lorinda.

- Wczoraj pod koniec gry oszukiwałem i zostało to zauważone.

- Oszukiwałeś? - wykrzyknęła zdumiona.

- Byłem pijany i zdesperowany, więc robiłem to dość nieudolnie.

- Ile osób wie o tym?

- Fox i trzech innych członków Klubu, którzy z nami grali. Wszyscy są moimi przyjaciółmi, więc wydaje mi się, że będą milczeli. Mimo to nie ośmielę się przekroczyć progu Klubu przez kilka najbliższych miesięcy.

Na ten cios Lorinda nie była przygotowana.

Dobrze wiedziała, że z człowiekiem, którego przyłapano na oszukiwaniu podczas gry, zrywano wszelkie kontakty towarzyskie, stawał się dla innych pariasem.

Istniała jeszcze szansa, nikła szansa, że obecni przy tym zdarzeniu złożą wszystko na karb zamroczenia alkoholowego i będą milczeć, jako że ojciec był człowiekiem znanym i niezwykle lubianym. Ale hrabia miał racje, kiedy mówił, że nie powinien się pokazywać w Klubie. Przez chwilę prawie

żałowała, że przeszkodziła mu we wczorajszym zamierzeniu. W zasadzie uznawano to za jedyne honorowe wyjście dla człowieka w tej sytuacji. Potem jednak powiedziała sobie, że świadczyłoby to o jeszcze większym tchórzostwie.

- Nie możesz już nic więcej zrobić, papo. - Głos miała już spokojny, prawie normalny. - Wyjedź natychmiast do Kornwalii. Weź ze sobą jednego służącego, którego chciałbyś zatrzymać, i dwa najlepsze konie. Reszta będzie sprzedana.

Mówiła dalej tonem zupełnie obojętnym:

- Sama przywiozę ci wszystkie rzeczy osobiste.

- A co będzie z moim faetonem?

- Jest całkiem nowy, więc ma największą wartość ze wszystkich powozów i trzeba go sprzedać. Teraz zjem śniadanie, a potem będę rozmawiała ze służbą. Jeżeli będziesz mnie potrzebował, będę w pokoju śniadaniowym.

Kiedy podeszła do drzwi, usłyszała smutny głos ojca:

- Przepraszam, Lorindo.

Wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.



## Rozdział 2

Lorinda popatrzyła z wymuszonym uśmiechem na pusty stół, stojący w holu. Wydawało się jej nieprawdopodobne, że jeszcze przed tygodniem cały był przykryty bilecikami odwiedzających, stosami różnych zaproszeń, a także niezliczonymi bukietami kwiatów, przysyłanymi przez jej żarliwych wielbicieli.

Pomyślała, że jeśli jeszcze jakaś rzecz na świecie mogłaby pogłębić jej pogardę wobec mężczyzn, to z pewnością to, co się wydarzyło, kiedy po mieście rozeszła się wiadomość, że hrabia Camborne i Cardis będzie wyprzedawał majątek.

Lorinda przekonywała siebie, że się tego spodziewała, ale mimo wszystko był to dla niej szok,

Następnego dnia po przyjęciu w Hampstead Heath otrzymała jak zwykle dużo miłosnych bilecików, mnóstwo kwiatów, a kołatka u drzwi domu przy Hanover Square była w ciągłym użyciu.

Ojciec nie czuł się wystarczająco dobrze, aby podróżować. Lorinda wymusiła na nim, żeby napisał do Charlesa Foxa i poinformował go, że dług zostanie spłacony tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, a pieniądze uzyskane z licytacji będą mu przekazane przez upoważnioną do tego firmę.

- Wątpię, czy kiedykolwiek zobaczy resztę forsy! - burknął hrabia, kończąc pisanie listu.

- Nie mogę pozwolić, papo, abyś stał się przeniewiercą - odparła Lorinda. - Zdobędziemy pieniądze, nawet gdybyśmy mieli poświęcić na to resztę naszego życia.

Hrabia zaklął cicho, nalewając sobie następnego drinka.

Upłynęły jeszcze dwa dni, nim wyruszył do Kornwalii. Zabrał ze sobą dwa najlepsze konie i najbardziej zaufanego służącego, choć zdaniem Lorindy nawet to niewielkie ustępstwo było z jej strony nieuczciwością wobec człowieka,

któremu byli winni tak dużo pieniędzy. Nie wyraziła jednak głośno swoich wątpliwości.

Ojciec odjechał, nie zapytawszy nawet, jak poradzi sobie sama ze wszystkim. Pomyślała, że to bardzo dla niego typowe.

Prawdę powiedziawszy, była całkiem pewna, że ojciec byłby raczej zawadą aniżeli jakąkolwiek pomocą. Jednak sprzedaż domu i zapakowanie wszystkiego, co mieli ze sobą zabrać, było szalenie trudnym zadaniem.

Dwoje starych służących, którzy byli u nich od dawna, zgodziło się jej pomagać aż do momentu wyjazdu. Wszystkich pozostałych odprawiono, zaopatrując w znakomite referencje, które miały im ułatwić znalezienie innej posady.

Ucieszyła się, że przedstawiciel firmy, która miała zająć się sprzedażą domu, przewidywał duże zyski. Wcześniej bowiem miała pewne obawy, czy przypadkiem się nie okaże, że duże rozmiary domu są przeszkodą przy sprzedaży. Jednak niemal natychmiast zaczęli zgłaszać się chętni do jego obejrzenia.

Lorinda miała pewne podejrzenia co do przyszłego przeznaczenia ich domu. Przypuszczała, że zamiast pełnić funkcję rezydencji, jak to było do tej pory, może zostać zamieniony na dom gry. Nie zamierzała jednak robić z tego problemu.

Kilka obrazów miało sporą wartość, parę mniej nadszarpniętych zębem czasu sprzętów także nadawało się na sprzedaż. Nigdy natomiast nie mogli sobie pozwolić na wymianę przetartych dywanów czy podniszczonych zasłon, które teraz nie przedstawiały żadnej wartości.

Lorinda nie była typem kobiety popadającej w depresję, nie miała też zwyczaju się zamartwiać. Zresztą teraz i tak nie byłoby na to czasu. Przez cały długi dzień służba zasypywała ją pytaniami, co zapakować, a co ma zostać na miejscu. Poza

tym ciągle kręcili się i przeszkadzali mężczyźni sporządzający inwentaryzację rzeczy na sprzedaż.

Coś jednak dotknęło boleśnie Lorinę, chociaż nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą. Otóż było to zachowanie lorda Edwarda Hintona.

Mimo że zawsze traktowała go niezmiernie surowo, teraz wracały wspomnienia jego uroczystych miłosnych zapewnień i sądziła, że przynajmniej on jeden będzie lojalny, gdyby nawet wszyscy inni pozostali obojętni na jej położenie.

Jednak po dwóch dniach od przyjęcia w Hampstead Heath otrzymała od niego wiadomość następującej treści:

Lorindo,

Z przyczyn ode mnie niezależnych muszę opuścić Londyn. Wiesz dobrze, jakimi uczuciami Cię darzyłem przez cały ten rok i chociaż jasno dałaś mi do zrozumienia, że nic dla Ciebie nie znaczę, nie mogę wyjechać bez pożegnania. Żegnaj, piękna, zielonooka Lorindo! Zawsze będę Cię wspominał!

Edward

Przez dłuższą chwilę przyglądała się zapisanej kartce, po czym poszła poszukać ojca.

- Powiedz mi, papo, kto z twoich przyjaciół był obecny w Klubie White'a tego wieczoru, kiedy przegrałeś i kiedy to przyłapano cię na oszukiwaniu? - zapytała.

Wyraz twarzy ojca nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że jest to bardzo przykre dla niego pytanie, ale bardzo chciała usłyszeć odpowiedź.

Po krótkiej chwili odparł posepnie:

- Byli tam Davenport i Charles Lambeth.

- A księżę Dorset?

Ojciec potwierdził skinieniem głowy. Lorinda odeszła bez słowa.

Oto było wyjaśnienie liściku od Edwarda.

Książę i księżna Dorset nigdy nie byli jej przychylni i zdawała sobie sprawę, że jest dla nich ostatnią kandydatką na synową.

Książę był człowiekiem staroświeckim i bardzo surowym, a już nade wszystko nie pochwalał oszukiwania przy karcianym stoliku. Edward był całkowicie zależny od ojca, a ten działał szybko.

Nie musiała się nawet pytać Edwarda, by wiedzieć, że albo zostanie wysłany za granicę, albo zmuszony do pozostania w wiejskiej rezydencji rodzinnej, dopóki nie będzie zażegnane niebezpieczeństwo. Dlaczegoż miałabym oczekiwać, że ktokolwiek stanie po mojej stronie? - pytała siebie.

Jednocześnie nigdy przedtem nie czuła się taka bardzo samotna i opuszczona, ponieważ już nikt poza handlarzami do niej nie zaglądał.

Z cynicznym uśmiechem zacytowała słowa:

„Z wysokiego lotu - bolesny upadek”.

W tym momencie usłyszała stukot kołatki przy drzwiach.

Służące na piętrze pakowały ostatnie rzeczy, które planowała zabrać ze sobą do Kornwalii, sama więc otworzyła drzwi.

Przed nią, bardziej sardoniczny niż zwykle, stał lord Wroxford.

Lorinda spoglądała na niego przez chwilę, po czym oświadczyła:

- Nie ma mnie w domu, Ulriku.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Czy mogę wejść? Zawahała się przez chwilę, po czym szeroko otworzyła drzwi, gestem zapraszając go do środka.

- Przyszedłeś wybadać teren? Czy może upatrzyłeś sobie jakiś drobiazg i chciałbyś go zarezerwować?

W jej głosie zabrzmiała nuta sarkazmu. Dom Wroxforda w Hampstead Heath po brzegi wypełniony był skarbami i nic, co posiadał jej ojciec, nie mogło przyciągnąć uwagi lorda.

- Chcę z tobą porozmawiać - powtórzył, odkładając kapelusz.

- Spróbuję znaleźć dla ciebie jakieś krzesło - odparła, - Obawiam się jednak, że wszystkie poskładano już w sterty, przygotowując do aukcji.

To rzekłszy, poprowadziła go do biblioteki, która swoimi pustymi regałami sprawiała szczególnie przygnębiające wrażenie. Dywany były zrolowane, krzesła powiązane ze sobą, a obrazy stały oparte o ściany.

Lord Wroxford patrzył jednak wyłącznie na Lorindę. Wydawała mu się piękniejsza niż zwykle ze swoimi płomiennie rudymi włosami, kontrastującymi z białą skórą.

Lorinda stała bez ruchu na środku pokoju.

- A więc, co takiego masz mi do powiedzenia? - zapytała stanowczo.

- Przyszedłem, aby ci zaproponować, że cię zabiorę daleko stąd i uwolnisz się od tych wszystkich nieprzyjemności.

Lorinda spojrzała na niego ostro, ale ponieważ milczała, hrabia kontynuował:

- Moglibyśmy wyjechać za granicę, zniknąć z oczu plotkarzom. Zawsze byłem głęboko przekonany, że bardzo do siebie pasujemy.

Lorinda uśmiechnęła się.

- To miło, Ulriku, że mi to proponujesz. Wydaje mi się jednak, że znasz moja odpowiedź.

- Cóż jeszcze masz do stracenia w twoim położeniu, za które, notabene, odpowiedzialny jest twój ojciec? - zapytał.

Lorinda lekko przechyliła głowę.

- Zastanawiam się, jak prędko byś się mną znudził? - zapytała. - Myślę, Ulriku, że nie należysz do ludzi, którzy potrafią bez reszty zatracić się w miłości i zapomnieć o reszcie świata.

- Jeśli byś mnie kochała - odparł - jestem przekonany, że nigdy bym niczego nie żałował ani nie pragnąłbym kiedykolwiek wrócić do Anglii.

- Jeśli! - podkreśliła Lorinda. - To słowo jest kluczem! Wiesz dobrze, że ja byłabym tobą znudzona, zanim byśmy jeszcze wyruszyli.

- Pragnę cię, Lorindo! Wszystko zrobię, abyś mnie pokochała.

Lorinda się zaśmiała.

- Nie jesteś chyba takim głupcem, żeby w to wierzyć. Ja nie lubię mężczyzn i nigdy żadnego nie będę kochała. Miłość to uczucie, o którym nic nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Hrabia postąpił krok w jej kierunku.

- A niech cię, Lorindo! Święty straciłby do ciebie cierpliwość!

- A ty nie jesteś świętym!

Patrzyła na niego złośliwie, kiedy powiedziała:

- Jestem przekonana, że przyszedłeś tu z cichą nadzieją, że ci odmówię.

- To nieprawda! - zaprzeczył. - Szaleję za tobą od lat! Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, pojedziesz ze mną i pozwolisz, abym się tobą zaopiekował.

- Nigdy nie byłam rozsądna - odparła Lorinda. - I wiem, że zaczęlibyśmy się już sprzeczać, zanim dopłynęlibyśmy do kontynentu. Chciałbyś mnie dotykać, a ja tego nienawidzę!

Gwałtowność, z jaką wypowiedziała ostatnie słowa, zgasła żar w spojrzeniu Ulrika.

- Nigdy nie spotkałem nikogo głupszego ani bardziej od ciebie kłótliwego - powiedział.

Lorinda nic nie odpowiedziała. Ulrik krążył niespokojnie po pokoju.

- Czy pomyślałaś o tym, jak będzie wyglądało twoje życie w Konwalii? U boku ojca odchodzącego od zmysłów, ponieważ nie będzie już mógł grać?

Zorientował się z wyrazu jej twarzy, że jego słowa trafiły do celu.

- Żadnych przyjęć, żadnych adoratorów - kontynuował - nie licząc, oczywiście, miejscowej gawiedzi.

Przerwał na chwilę, po czym dodał z lekką ironią:

- W takich warunkach, Lorindo, uroda nie trwa długo. Zdawało mu się, że widzi strach w jej oczach, podszedł więc i otoczył ją ramieniem.

- Wyjedź ze mną - powiedział głębokim głosem. - Spędzimy miło czas. Może nawet pojedziemy na Wschód, który zawsze chciałem zwiedzić.

Lorinda zeszywniała pod dotknięciem jego ręki, ale się nie odsunęła.

- A kiedy już zwiedzimy Wschód? - zapytała spokojnie. - Co wtedy?

- Możliwe, że umrze moja żona. Stan jej zdrowia nie jest dobry.

Lorinda roześmiała się i wyswobodziła z jego objęć.

- Och, Ulriku, toż to taki sam banał, jak gdybyś powiedział, że żona cię nie rozumie. Ludzie nie umierają wtedy, kiedy sobie tego życzymy.

Lord Wroxford spojrzał na nią niepewnie. Promienie słońca igrały we włosach Lorindy, tworząc wokół jej głowy coś na kształt aureoli.

- O Boże! Jakaś ty piękna! - wykrzyknął. - Pragnę cię, Lorindo! Pragnę cię bardziej, niż sądziłem, że można pragnąć kobiety. Muszę cię mieć!

Lorinda przesłała mu spojrzenie pełne ironii.

- Moja niania mawiała często, że nie można mieć w życiu wszystkiego, i to właśnie jest moja odpowiedź.

- Nie mówisz chyba poważnie! Nie możesz być aż tak nierozważna, aby odrzucać jedyną rozsądną propozycję, jaką otrzymałaś w obecnym położeniu.

Oczy mu się zwięzły, kiedy mówił dalej:

- Słyszałem, że Edward został wywieziony na wieś, a inni wielbiciele, którzy leżeli u twoich stóp, rozglądają się właśnie za jakimś innym godnym adoracji obiektem.

Zobaczył, że się uśmiecha, i jeszcze bardziej go to zirytowało.

- Jestem bardzo bogatym człowiekiem, Lorindo i jestem gotów wydać cały majątek na ciebie, co do pensa. Czy to możliwe, abyś była aż tak lekkomyślna, żeby mi odmówić?

- Tak mi się wydawało, że wcześniej czy później zaczniemy mówić o twoich pieniądzach - zauważyła oziębło. - Gdyby i mnie wystawiono jutro na sprzedaż, jestem pewna, że byłbyś jednym z licytujących. I może nawet tanio byś mnie dostał! Ale skoro jeszcze decyzja należy do mnie, to oświadczam ci, że nie jestem zainteresowana.

- Gdybym był przy zdrowych zmysłach - powiedział gorzko - oszedłbym teraz bez słowa. Ale dam ci jeszcze jedną szansę. A więc, czy wyjedziesz ze mną?

Lorinda rozłożyła ręce.

- Drogi Ulriku! Zawsze będę pamiętała o twojej propozycji, ponieważ nikt inny nie uczynił mi nawet takiej.

- Upierasz się więc przy swojej odmowie?

- Kiedy gdzieś daleko, w dzikiej Kornwalii, usiądę sobie nad brzegiem morza, przypatrując się falom i dumając, skąd wziąć następny kęs chleba na nasz stół, bez wątpienia przypomnę sobie twoje bogactwo i będę szczęśliwa, że w dalszym ciągu nie masz dość pieniędzy, aby mnie kupić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał lord Wroxford.



- Tylko tyle, że tak naprawdę nie masz mi do zaoferowania nic, czego bym pragnęła, nic, za co byłabym gotowa się sprzedać.

- Nie rozumiem cię.

- Może to i dobrze. Do widzenia, Ulriku.

- Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę. Dziękuję, że przyszedłeś.

Nie mogąc już dłużej nad sobą zapanować, lord Wroxford postąpił krok naprzód i wyciągnął po nią rękę, ale zdołała mu się wymknąć.

- Zaczynasz być męczący - powiedziała ostro. - Odejdź, Ulriku. Mam mnóstwo pracy i nie mogę już dłużej tracić czasu.

- A niech cię! - zaklął Ulrik. - Ja nie żartuję. Nie możesz mnie tak po prostu odprawić!

- Sam znajdziesz wyjście.

To mówiąc, wyszła z biblioteki. Po chwili usłyszał, jak wbiega po schodach na górę. Przez moment stał nieruchomo; na jego twarzy malowało się nie tylko uczucie zawodu, lecz także szczerego zdumienia.

Zanim tu przyszedł, był przekonany, że Lorinda zdecyduje się raczej na jego propozycję, niż pozwoli się żywcem pogrzebać w Kornwalii. Przez chwilę czekał, łudząc się, że może jeszcze wróci. Ale panowała kompletna cisza. Ruszył więc ciężko przez hol w kierunku frontowych drzwi.

Frekwencja na wyprzedaży zaskoczyła nawet samych organizatorów. Chociaż początek wyznaczono na godzinę jedenastą, ludzie zaczęli napływać już o dziesiątej.

Aukcja miała się odbyć w dużym salonie. Wszystkie przygotowane krzesła zajęte były na długo przed jej rozpoczęciem.

Lorinda w pełni zdawała sobie sprawę, że połowa obecnych przybyła tu wyłącznie z ciekawości. Rozpoznała

nawet kilku swoich wrogów i pomyślała, że muszą rozkoszować się widokiem jej upadku. Byli to w większości ludzie, których ignorowała lub którym w przeszłości parę razy utarła nosa. Byli także ci, którzy nie pochwalali jej zachowania, i wreszcie tacy, którzy skrycie podziwiali ją za robienie rzeczy, na które sami nigdy by się nie odważyli.

Lorinda z satysfakcją zauważyła także wielu kupców handlarzy, którzy rywalizując ze sobą, na pewno podbijają ceny.

- Czy jaśnie panienka rzeczywiście będzie obecna na sali?  
- zapytał prowadzący aukcje urzędnik.

A kiedy potwierdziła, dodał:

- Pomyślałem, że może się pani czuć niezręcznie. Zwykle w podobnych sytuacjach nam się powierza załatwienie wszystkiego.

- Jestem ciekawa, jak będzie przebiegała licytacja.

Lorinda wiedziała, że większość zebranych uzna jej obecność na sali za dziwactwo, ale duma nie pozwalała tej uciec, tak jak to zrobił ojciec.

Mogą sobie myśleć, co chcą - pomyślała - ale na pewno nie pozwolę, żeby sądzili, iż rozpaczam lub szlocham wtulona w poduszki.

Wyglądała bardzo pięknie i pociągająco, kiedy tak siedziała obok urzędnika ubrana w twarzową suknię oraz zdobny piórami kapelusz z szerokim rondem i przyglądała się bacznie każdemu z kupujących.

W rzeczywistości spokojnie i obojętnie przyjmowała sprzedaż poszczególnych przedmiotów aż do momentu, kiedy na salę wniesiono biżuterię matki.

Wtedy dopiero ogarnął ją żal, który zaraz sama z niecierpliwością uznała za głupie sentymenty.

- Mamusiu, błyszczysz się jak czarodziejka - powiedziała kiedyś w dzieciństwie do matki.

- Ten naszyjnik należał do mojej praprababki - odparła matka, dotykając otaczających szyję szmaragdów. - Pewnego dnia, kochanie, będą należały do ciebie i pięknie podkreślały kolor twoich oczu.

Teraz Lorinda popatrzyła na szmaragdy i zrobiło się jej żal, że nigdy ich nie nosiła. Sądziła, że taki rzucający się w oczy przepych nie przystoi młodej dziewczynie; przecież zawsze szczyliła się dobrym smakiem w dobieraniu strojów.

Często jednak o nich myślała. Kiedy brała z sejfu jakiś klejnot, przyrzekała sobie, że będzie je nosiła, kiedy zostanie mężatką. Wyglądałyby pięknie przy jej śnieżnobiałej karnacji - wielkie kamienie połyskujące dokoła szyi. Teraz miały iść „pod młotek” i zastanawiała się, która z obecnych dam jest godna, żeby je nosić.

Lorinda nie musiała sprzedawać naszyjnika. Był jej własnością i od śmierci matki nigdy nie pozwoliła ojcu go sprzedać ani nawet zastawić, choć często miał na to wielką ochotę.

- On jest mój, papo - ukrócała jego zakusy - należał do rodziny mamy i nie ma nic wspólnego z Camborne'ami.

- Lorindo, pozwól mi na chwilkę zastawić naszyjnik. Wkrótce się odegram i wykupię go - prosił ojciec.

Ale Lorinda zawsze odmawiała. Teraz wystawiła go na sprzedaż, bo było jej wstyd, że ojciec chce się wymigać od zapłacenia honorowego długu.

Kiedy w końcu szmaragdy przelicytowano, poczuła, jakby jakaś część jej młodości, jej ideały odeszły na zawsze.

Szmaragdy miały dla niej szczególne znaczenie; nie potrafiłaby nawet wyjaśnić, na czym to polega. Ucieszyła się więc, że nie kupił ich nikt ze znajomych, ale poważny pan siedzący z tyłu sali. Lorinda wyobraziła sobie od razu, że jest on jubilerem i kupił je z zamiarem odprzedaży.

Przynajmniej nie będę musiała być świadkiem niczych nad nimi zachwyków - pomyślała, jednocześnie pragnąc, żeby już było po wszystkim.

Wreszcie aukcja dobiegła końca i Lorinda poczuła niewypowiedzianą ulgę.

- Bardzo korzystny rezultat, jeśli wolno mi zauważyć, jaśnie panienko - powiedział licytator, kiedy pozostali sami w salonie.

- Ile to wyniesie razem? - chciała wiedzieć Lorinda.

- Około czterdziestu pięciu tysięcy funtów, jaśnie panienko, a jeśli zgodzi się pani na dwadzieścia tysięcy, które dziś rano zaproponowano za dom, wyniesie to w sumie sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów, przed odjęciem honorarium dla nas.

- Przekazałam już panu dyspozycje dotyczące przesłania całej sumy jaśnie wielmożnemu panu Charlesowi Foxowi.

- Zrobimy to według pani życzenia. Lorinda zarzuciła sobie na ramiona podróżną pelerynę.

- Czy jaśnie panienka odjeżdża? - zapytał urzędnik. - Tak, odjeżdżam.

Wyszła, nie oglądając się za siebie.

Podróżny powóz czekał przed drzwiami. Lejce trzymał młody stangret, którego wybrała ze względu na jego niską gażę.

Powóz wypełniony był po brzegi kuframi, walizkami, paczkami, a także wszelkiego rodzaju garnkami i przyborami kuchennymi, których nie opłacało się wystawiać na aukcję.

Lorinda spojrzała na to wszystko, po czym z uśmiechem siadła na koźle obok woźnicy i wzięła lejce w dłonie.

Mimo że w pobliżu nie zauważyła wielu gapiów, była pewna, że jeszcze tego wieczoru wytworne towarzystwo Londynu będzie rozprawiało z przejęciem o zuchwałej eskapadzie lady Lorindy Camborne. Gdy przejeżdżali wzdłuż

Picadilly, zaszokowała całkiem spory tłum przechodniów. Wszyscy, co prawda, byli już przyzwyczajeni do liberii jej służby, ale któż to widział, aby panienska z dobrego domu wystrojona w kapelusz z piórami sama powoziła, i do tego z wielką wprawą.

Pomimo tłoku poruszali się z dużą prędkością, ponieważ konie były wypoczęte. Po opuszczeniu miasta jeszcze przyśpieszyli.

Kiedy już nikt więcej nie mógł jej zobaczyć, Lorinda wręczyła stangretowi wodze ze słowami:

- Ben, potrzymaj to, proszę, przez moment. Długa droga przed nami, więc chciałabym czuć się swobodnie.

Lorinda zdjęła kapelusz, wepchnęła go pod siedzenie, a na głowę włożyła zwykłą chustkę, którą przewiązała pod brodą.

Kiedy z powrotem wyciągnęła ręce po wodze, woźnica oddał je z uśmiechem.

- To będzie taka mała przygoda, prawda, jaśnie panienko?  
- zapytał szczerząc do niej zęby.

- To jest wyprawa w nieznane, Ben - zgodziła się Lorinda.  
- A ponieważ nie ma odwrotu, powinniśmy możliwie wygodnie i przyjemnie odbyć tę podróż.

Mówiąc to, patrzyła na rozciągający się na południowym zachodzie błękitny horyzont. To, co powiedziała do Bena, było prawdą. „Nie ma odwrotu”.

Zakończył się pewien etap w jej życiu.

To była długa podróż. Lorinda była zmęczona na długo przed dotarciem do celu.

Nie chciała zmieniać koni w przydrożnych zajazdach. Nie mogła więc podróżować w ciągu dnia zbyt długo. Konieczny był wczesny postój, żeby konie mogły odpocząć przed trudami następnego dnia.

Lorinda musiała uważać na wydatki, omijała więc duże, drogie gospody, zadowalając się mniejszymi i nie tak

wygodnymi. Za każdym razem jej przyjazd wywoływał zamieszanie, ponieważ rzadko goszczono tam tak znamienitych gości.

Okazało się jednak, że obsługa była zwykle bardzo uprzejma i pomimo niewygodnych łóżek i szorstkiej pościeli, Lorinda spała dobrze. Każdego ranka budziła się rześka i pełna energii.

Najlepszą sukienkę, którą miała na sobie w czasie aukcji, zmieniła teraz na inną, skromniejszą i bardziej użyteczną. Rozważała nawet, czy dla całkowitej wygody nie włożyć męskiego stroju. Zdała sobie jednak sprawę, że gorszyłoby to większość spotykanych po drodze wieśniaków. Zachowała więc kobiecy strój, lecz nawet samo to, że podróżowała z odkrytą głową, wprawiało w zdumienie wielu karczmarzy oraz ich żony.

Drogi na ogół nie były najlepsze. Ale na szczęście nie było błota, w którym trochę ciężkawy powóz mógłby ugrząźć, co zawsze stanowiło największe ryzyko w czasie podróży zimą. Padały tylko przelotne deszcze. Lorinda nie dała się namówić Benowi do jazdy wewnątrz powozu; uważała, że peleryna z kapturem jest wystarczającą osłoną podczas zmiennej aury.

Przez kilka dni było bardzo gorąco i muchy dokuczały koniom. Zatrzymywali się wtedy na godzinę, po południowym posiłku.

Lorinda nie rozmawiała wiele z Benem. Myślała często o niepewnej przyszłości i nie przestawała się martwić, skąd wezmą brakujące czterdzieści tysięcy funtów na spłacenie długu Foxowi. Na szczęście Fox był człowiekiem życzliwym i była pewna, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie ich zbytnio naciskał. Sam także miewał karciane długi i musiał wiedzieć, jak trudno jest wtedy szybko znaleźć dużą kwotę żywej gotówki.

W końcu jednak ojciec będzie musiał uregulować dług; problem tylko, jak to zrobić?

Kiedy przejechali przez niegościnne, jałowe, skaliste wrzosowiska Bodmin, Lorinda poczuła, że jest w innym świecie. Tak dawno nie była w osłoniętym dorzeczu rzeki Fal, że zapomniała o pejzażach zapierających dech w piersiach i kwiatach, piękniejszych niż gdziekolwiek indziej.

Ciepły, miejscami tropikalny klimat sprawiał, że hodowla pewnych roślin i kwiatów była możliwa tylko na tym obszarze Anglii. Z zachwytem rozpoznawała pomarańczowe i cytrynowe drzewka, a w pewnej chwili dojrzała nawet jedno bananowe.

Trawy rosnące poniżej pyszniły się mnogością kwiatów, z których prawie każdy potrafiła nazwać. Róż i purpura dzikich orchidei budziły w niej wspomnienia z dzieciństwa.

Za życia matki dużo czasu spędzali w Kornwalii i dopiero po jej śmierci ojciec nie chciał już opuszczać Londynu. Posiadłość Priory była przez te wszystkie lata zamknięta; mieszkała tam tylko para starszych ludzi, którzy zadowolając się niską gażą pełnili rolę stróżów, byle tylko mieć dach nad głową.

Przewidując, że staruszkowie nie potrafią odpowiednio zająć się ojcem, przekazała przez sługę, który mu towarzyszył, wiele poleceń dotyczących tego, co i jak powinno być robione. Była też pewna, że ojciec przywita ją ciepło choćby z tej jednej przyczyny, że jej przyjazd będzie się wiązał z poprawą warunków jego egzystencji.

Powóz wjechał na wzgórze i Lorinda zwróciła się do Bena, wskazując końcem bata w kierunku rozciągającej się poniżej doliny.

- Oto jest Priory.

Widok był tak zniewalający, że powiedziała to z pewną dumą.

Stary dom był kiedyś klasztorem przylegającym do zamku, który w ciągu minionych wieków zamienił się w ruiny. Połyskująca bielą na tle zieleni otaczających ją drzew, posiadłość wyglądała bardzo majestatycznie i urągała upływowi czasu oraz prawom przemiany; w jej tle majaczyło błękitne morze.

- Na Boga, jasnie panienko, to panienki dom? - wydusił oniemiały Ben.

- Tak jest - odparła; wiedziała jednak, że z bliska nie będzie już sprawiał tak imponującego wrażenia.

Szybko się to, niestety, potwierdziło, kiedy jechali w dół długą, wyboistą aleją, wzdłuż szeregu starych, zaniedbanych drzew. Przy końcu alei raz jeszcze, przez krótką chwilę, widok na rezydencję był imponujący, ale zaraz potem mieli okazję przekonać się, jak bardzo jest zrujnowana.

Podjazd przez domem zielenił się chwastami, a nosząca ślady złoceń balustrada częściowo leżała w gruzach. Brama z kutego żelaza która przetrwała wieki, teraz zwisała na krzywych zawiasach.

Lorinda podjechała pod frontowe drzwi. Wyraźnie odczuwała w zbolałych rękach trudy długiej podróży. I choć niechętnie by się do tego przyznała, w duchu dziękowała Bogu, że nie musieli już nigdzie dalej jechać. Na jej spotkanie wyszedł stajenny ojca oraz para starszych ludzi, w których Lorinda rozpoznała stróżów domu. Przywitała się i weszła do środka.

Dom był w opłakanym stanie. Ściany miały wilgotne zacieki, na sufity nawet nie odważyła się spojrzeć. Mebli nie polerowano od lat, a pierwszy pokój, do którego weszła, chyba nigdy nie był sprzątny.

Szła dalej, zgadując, że ojciec zajął pewnie ulubiony pokój matki z pięknym marmurowym kominkiem i dużymi oknami wychodzącymi na ogród.



Rzeczywiście, w tym właśnie pokoju zastała go siedzącego przy karcianym stoliku i stawiającego pasjansa.

- Jestem już, papo.

Nie wstał, żeby się przywitać, spojrzął tylko na nią przelotnie. Zorientowała się, że pił.

- Jak widzisz, szczęśliwie dojechałam - powiedziała - i żeby do końca zaspokoić twoją ciekawość, powiem ci, że podróż była stosunkowo wygodna i bezpieczna.

- Czy przywiozłaś mi jakieś pieniądze? - zapytał hrabia.

- Dobrze wiesz, że każdy pens uzyskany na aukcji został odesłany Charlesowi Foxowi.

- Wszystko, co do pensa?

- Wszystko.

- To bardzo głupio - zauważył hrabia. - Jak ci się wydaje, z czego będziemy teraz żyli?

- Nie zastanawiałam się nad tym - odpowiedziała chłodno. - Mam parę Funtów na najpotrzebniejsze wydatki i nadzieję, że w ogrodzie znajdziemy coś do zjedzenia.

- Mnóstwo chwastów, jeżeli w nich gustujesz. Lorinda podeszła do okna i popatrzyła na dzunglę, która kiedyś była pięknym ogrodem. Zielone trawniki, straszliwie zarośnięte, utraciły elegancką wytworność aksamitu, krzewy i kwiaty splecione w tropikalny las: obfitość barw i bujność roślin pozbawiona jakiegokolwiek porządku i planu.

Jednak świeciło słońce i Lorinda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że oto powróciła do domu. Wyszła na zewnątrz i przez moment spodziewała się nawet, że zaraz zawoła ją matka. Potem szybko wróciła do pokoju, w którym siedział ojciec, jakby próbując odpędzić wspomnienia.

- Pójdę obejrzeć dom - powiedziała. - I chciałabym zjeść wcześniej kolację. Jestem głodna. Od śniadania nic nie miałam w ustach.

- Jedzenie jest obrzydliwe - odparł hrabia. - Nikt tutaj nie potrafi gotować i ja...

Lorinda nie czekała, aż skończy. Ruszyła zwiedzać dom i to, co zobaczyła, przerosło jej wyobraźnię.

- Mam nadzieję, że to jest jadalne - spytał w czasie kolacji hrabia, nabierając potrawy z półmiska podawanego przez starego stróża.

- Większość ugotowałam sama - powiedziała Lorinda. - Jutro udziele parę lekcji pani Dogman, żebyśmy nie musieli więcej chodzić z pustymi żołądkami.

- Z pewnością smakuje lepiej niż to, co do tej pory musiałem jeść - niechętnie przyznał ojciec.

- Czy próbowałeś może ustrzelić królika? - zapytała. - Widziałam ich sporo w parko.

- Jeszcze nie znalazłem strzelby - odparł ojciec. - Co robiłeś do tej pory, papo?

- Odwiedzałem tutejszą wioskę.

- A w szczególności gospodę Penryn Arms - zauważyła Lorinda.

- A gdzie indziej mógłbym tutaj pójść? - zapytał. - W całym domu nie ma ani kropli alkoholu.

Po chwili dodał:

- Przynajmniej mają tam znakomitą brandy! Lorinda popatrzyła na niego ze zdumieniem, więc wyjaśnił:

- Pewnie z Francji.

- Chcesz powiedzieć, że jest szmuglowana?

- Tak jak zawsze była. Kornwalijscy nieczęsto zmieniają stare przyzwyczajenia.

Lorinda milczała, a hrabia dodał zamyślony:

- Moglibyśmy sami troszkę poszmuglować! Słyszałem, że ci, którzy to robią, zarabiają krocie. Czasami udaje się pięciokrotnie pomnożyć wyłożoną sumę!

- Czy to możliwe? - zapytała.

Teraz przypomniała sobie, że wieśniacy rzeczywiście zawsze zaangażowani byli w jakiś przemyt. Przypuszczała, że korzyści muszą jakoś rekompensować ryzyko, ale ten zysk wydawał się wprost fantastyczny!

- Szmuglowanie urozmaiciłoby przynajmniej monotonię tego miejsca, gdzie jesteśmy żywcem pogrzebani - cierpko stwierdził hrabia.

Lorinda nie chciała się sprzeczać, zapytała więc:

- W wiosce musieli się zdziwić na twój widok. Czy zaszły jakieś zmiany od czasu naszego ostatniego tutaj pobytu?

- Nie zauważyłem żadnych. Może jedynie to, że wielu ludzi zmarło, a reszta też przypomina nieboszczyków.

Lorinda roześmiała się.

- Nie smuć się, papo. Może to nie jest Carlton House czy Klub White'a, ale to jest nasz dom. I skoro już musimy tu mieszkać, dlaczego nie mielibyśmy się postarać, żeby było nam przyjemnie?

- Jeśli o mnie chodzi, to nie bardzo widzę, co mogłoby tu być przyjemnego - mruknął hrabia.

- Nie przypominam ich sobie dobrze, ale musieliśmy chyba mieć jakichś sąsiadów? - zapytała.

- Nawet jeśli są, to ja ich jeszcze nie spotkałem.

- Nie sądzę, żeby wiedzieli, że tu jesteś. Spróbuj sobie przypomnieć, jak się nazywają.

Ojciec wzruszył ramionami, jakby go to nie interesowało. Potem niechętnie dodał: - Jest tu jedna rzecz nowa.

- Co takiego?

- Jakiś głupiec, bo bez wątpienia musi nim być, remontuje zamek Penryn.

- Nie wierzę! - wykrzyknęła Lorinda. - Czy to któryś z Penrynów?

- Nie. Zdaje mi się, że nazywa się Hayle, Durstan Hayle, i przybył z Indii.

- Musi być bogaty, jeśli go stać na odbudowę zamku. Pamiętam, że był w jeszcze gorszym stanie niż nasz dom.

- W wiosce mówią, że śpi na pieniądzach. Ciekawe, czy gra w karty...

- Papo, skoro o tym wspomniałeś, to wiesz, że nie wolno ci grać, dopóki nie uregulujesz długu - przestrzegła Lorinda.

- A w jaki sposób masz zamiar go uregulować? - zapytał hrabia. - Gra w karty to jedyny sposób zarabiania pieniędzy, jaki znam.

- Nie możesz grać, skoro nie masz za co - tłumaczyła jak dziecku.

- Jeżeli ten gość z Indii zechce grać, to będę z nim grał, psiakość! - zaklął hrabia. - Może uda mi się go trochę oskubać.

Lorinda westchnęła.

Nie ma sensu go przekonywać - pomyślała. - Nigdy nie uda się wytłumaczyć ojcu, jak niestosownie i niehonorowo jest grać w sytuacji, gdy nie uregulowało się jeszcze wcześniejszych zobowiązań.

- Bardzo bym chciała obejrzeć zamek Penryn - powiedziała. - Czy dowiedziałeś się czegoś o panu Hayle'u?

- Tylko tyle, że ma wypchane kieszenie - odparł hrabia.

- Zastanawiam się, dlaczego zainteresował go zamek. Większość ludzi, którzy zrobili majątek na Wschodzie, pragnie mieszkać w Londynie lub jego okolicach.

- Cokolwiek zamierza tam zrobić, nic z tego nie będzie - posepnie stwierdził hrabia. - Pamiętam, kiedy byłem chłopcem, zamek był jedną z największych atrakcji w całym kraju.

Przerwał na chwilę.

- W zimie urządzano tam bale, a latem przyjęcia w ogrodzie. Tak... stary Penryn potrafił się wystawnie bawić, nie to co dzisiaj.

Hrabia wydawał się ożywiony, żeby więc podtrzymać ten nastrój, Lorinda dodała:

- Musiałeś się w tych czasach dobrze bawić, papo.

- To jedno ci powiem, mieliśmy wtedy świetne konie! I kiedy Penryn został głową rodu, urządzaliśmy razem biegi z przeszkodami. To dopiero była zabawa! Choć paru jeźdźców skreśliło kark!

Westchnął z rozdrażnieniem.

- Nie sądzę, żeby ten gość potrafił odróżnić koński łeb od zadu. Bardziej obyty ze słomami!

Powiedział to z lekceważeniem. Lorinda wiedziała, że złościło go bogactwo Hayle'a, ponieważ sami byli w nędzy. Ojciec bywał czasami małostkowy. Miała jednak nadzieję, że dla własnego dobra nie zacznie już wojny z właścicielem zamku, chociaż go jeszcze nie poznał.

Jeśli nic się nie zmieniło od czasu jej dzieciństwa, to znaczy, że niewielu mają sąsiadów, a odległości między nimi są znaczne. Bez względu więc na to, kim był nowy przybysz, roztropnie byłoby z ich strony mieć z nim jak najlepsze stosunki.

- Może jest w wieku papy? - zastanawiała się. - Mam nadzieję, że nie lubi zaglądać do kieliszka. Nie możemy sobie pozwolić na duże rachunki za alkohol!

Po obiedzie przeszła wraz z ojcem do pokoju gościnnego, planując po drodze, w jaki sposób urządzić wygodnie przynajmniej to jedno pomieszczenie. Nie miało sensu zagospodarowywanie innych, skoro do ich utrzymania mieli tylko dwoje służby. Najlepiej więc byłoby zgromadzić najlepsze meble i najwygodniejsze fotele oraz sofy w tym pokoju, a resztę domu zamknąć.

Jakby odgadując o czym myśli, ojciec powiedział gwałtownie:

- Nie zniosę tego, Lorindo! Nie wytrzymam tego więzienia na końcu świata, gdzie nie ma do kogo ust otworzyć! Można co najwyżej wychylić kieliszek z paroma kmiotkami.

Głos ojca przepełniony był takim bólem, że Lorinda po raz pierwszy współczuła mu.

- Nic na to nie możemy poradzić, papo - odparła. - Musimy tu zostać, dopóki nie uda się nam sprzedać domu i ziemi. Przekazałam w tym celu odpowiednie pełnomocnictwa pośrednikom w Londynie, ale nie muszę ci mówić, że nie robili mi zbyt wielu nadziei.

Ojciec nic nie odpowiedział, więc po chwili ciągnęła dalej:

- Jak tylko znajdę chwilę czasu, pojedę do Falmouth poszukać tam jakiegoś pośrednika. Możemy też umieścić ogłoszenie w lokalnej gazecie.

Spodziewała się, że po tych słowach ojciec wybuchnie, tak jak w Londynie, ale zamiast tego powiedział apatycznie:

- Rób, co chcesz! Wiem tylko, że jeśli będę musiał to długo znosić, bez wątpienia palnę sobie w łeb.

Po tych słowach opadł ciężko na fotel, przewracając przy okazji stolik z kartami, które poszybowały po całym pokoju, i to zerwało tamę jego samokontroli - hrabia zaczął kłać. Posypały się ostre, nawet ordynarne przekleństwa.

Lorinda nie miała zamiaru tego słuchać. Wyszła przez otwarte drzwi do ogrodu. Słońce w świetlistej aureoli zniknęło za horyzontem, a niebo pełne było złota i czerwieni.

Usłyszała cienki pisk nietoperza i zobaczyła w górze, na tle nieba, zarys jego spiczastych skrzydeł.

Oddalała się coraz bardziej od domu, aż w końcu przestała słyszeć głos ojca. Odetchnęła głęboko.

- Nie pozwolę, żeby mnie to załamało - powiedziała głosem pełnym buntu. Lecz głos zaginął gdzieś w gęstwinie lasu.

### Rozdział 3

W lesie było ciemno. Jedyne nikła poświata rozgwieżdżonego nieba przeświecała między gałęziami drzew. Lorindzie zdawało się jednak, że zna na pamięć krętą ścieżkę wiodącą z Priory przez gęsty las aż do samego morza.

Potknęła się i zadźwięczały monety, którymi miała wypełnione kieszenie. Pomyślała z satysfakcją, że jeśli ojciec się nie mylił, będą podwojone, zanim dostanie je z powrotem.

Był to z jej strony desperacki krok, ale nie było innego wyjścia - musieli z czegoś żyć. Pieniądze, które przywiozła z Londynu, nie starczyłyby na długo. W krótkim czasie ich życie stałoby się zależne od tego, co wyhodują w ogrodzie bądź ustrzelą w okolicy.

Nie starczyłoby też pieniędzy na drinki w gospodzie, bez których ojciec nie potrafił się obejść. Lorinda była przekonana, że już zdążył zrobić pokaźny rachunek w Penryn Arms.

Podczas podróży z Londynu miała nadzieję, że przynajmniej będą otrzymywać czynsz od dzierżawców uprawiających ich grunty. Łudziła się też nadzieją, że może znajdzie się ktoś poważnie wobec nich zadłużony i wtedy będą mogli rozpocząć nowe życie na solidnej finansowej podstawie.

Były rzeczywiście duże zaległości w płatnościach, ale kiedy Lorinda odwiedziła dłużników, nie miała odwagi nawet wspominać o pieniądzach. Oni natomiast przedstawili długą listę koniecznych napraw, co należało do obowiązków dziedzica; w jak opłakanym stanie były dachy domów i zabudowania, widać było na pierwszy rzut oka.

Nie było nadziei na dochody od dzierżawców. Z czego więc mieli żyć?

Lorinda zawsze lubiła wywoływać publiczne skandale, lubiła także ryzykowne przedsięwzięcia. Przemyt spełniał oba te warunki.

Pieniądze miała dobrze schowane przed ojcem. Teraz z topniejących zapasów wzięła dwadzieścia złotych gwinei. Wypytyjąc się dyskretnie, ustaliła, w którym miejscu wracający z długich wypraw do Francji przemytnicy przybijają do brzegu.

Była to Zatoka Keverne, którą dobrze pamiętała z dawnych czasów. Mała, ukryta zatoczka otoczona wysokimi urwistymi skałami. Często z matką lub nianią urządzały Urn pikniki.

Niebo zaczęło się rozjaśniać, gwiazdy zbladły. Nadchodził świt. Zapewne przemytnicy będą się starali dotrzeć w pobliże plaży jeszcze pod osłoną ciemności, kiedy będą niewidzialni dla przybrzeżnej straży, żeby z pierwszym brzaskiem przybić do brzegu.

Szła dalej, zastanawiając się, czy któryś z mężczyzn będzie ją pamiętał. Była jednak pewna, że kiedy już dowiedzą się, kim jest, z wielką ochotą oddadzą jej przysługę i kupią za jej pieniądze brandy, tytoń, koronki i jedwab - towary, na które w Anglii były bardzo wysokie ceny.

Kornwalijszyk miał przemyt we krwi i nie robił tego wyłącznie dla zysku, ale także z wrodzonej potrzeby podejmowania ryzyka oraz dla emocji nierozłącznie związanych z tym zajęciem.

Nagle spłoszone jej ruchami ptaki zerwały się do lotu, w podszyciu usłyszała hałas uciekających zwierząt. Opodal było już słycać odgłos uderzających o skały fal, który mieszał się ze świergotem budzących się ptaków.

Pewnie stąpając posuwała się do przodu. Poruszała się z łatwością, kiedy jej nóg nie kępowały długie spódnice. Zawsze wolała męskie stroje, a na strychu w Priory, w starych



kufrach, znalazła ubrania ojca jeszcze z chłopięcych czasów. Płaszcze do ziemi nie były praktyczne, ale bryczesy, które leżały na niej jak ulał, świetnie się nadawały właśnie na takie eskapady.

Znalazła też stary, zniszczony płaszcz, w sam raz do okrycia ramion w batystowej bluzce.

Uznała, że przynajmniej na początku będzie lepiej, jeśli przemytnicy będą sądzili, iż jest mężczyzną. Schowała więc długie włosy pod spiczastą czapkę, należąca prawdopodobnie do któregoś z forysiów jej dziadka.

Przed wyjściem spojrzała jeszcze na swoje odbicie w lustrze i uznała, że wygląda całkiem jak mężczyzna. Dopiero z bliższej odległości zdradza ją piękna twarz.

Teraz już plusk fal stawał się coraz wyraźniejszy, drzewa rosły coraz rzadziej; po lewej stronie Lorinda mogła dojrzeć postrzępiony zarys urwiska.

Zaczął się lekki spadek terenu w kierunku zatoki, ale postanowiła zostać pod osłoną lasu. Przemytnicy mogliby się wystraszyć, gdyby zobaczyli, że ktoś na nich czeka. A gdyby wzięli ją za kogoś, kto ich szpieguje lub za strażnika, mogliby ją po prostu zastrzelić, zanim zdążyłaby cokolwiek wyjaśnić.

Podszycie było coraz gęstsze, ale teraz przynajmniej Lorinda widziała już zatokę zupełnie wyraźnie. Przesmyk pomiędzy skalnymi urwiskami, który wrzynał się dość daleko w głąb lądu, był wymarzoną kryjówką dla łodzi przemytników, mało widoczny także od strony morza.

Z miejsca, gdzie stała, widać było dokładnie, że zatoczka jest pusta. Przemytnicy jeszcze nie przyплыli. Włożyła rękę do kieszeni, aby się upewnić, że sakiewka ze złotem ciągle tam jest, po czym oparła się o drzewo i cierpliwie czekała.

Gwiazdy zupełnie zbladły, a pierwsze półprzezroczyste światło poranka nadawało wszystkiemu dokoła jakiś nieziemski wygląd i niezwykły czar.

Serce skoczyło jej gwałtowniej, kiedy zobaczyła na morzu ciemny punkt, który coraz bardziej i bardziej się przybliżał, aż wreszcie wślizgnął się wąską gardzielą do zatoczki i zaczął podążać ku jej najdalszemu krańcowi, blisko miejsca, gdzie stała.

W długiej, wąskiej łodzi siedziało dwudziestu wioślarzy. Można było wyraźnie odróżnić ich głowy na tle szarego nieba, ale twarze ciągle skrywała ciemność.

Zachowywali się niezwykle cicho. Wiosłowali bezszelestnie i w milczeniu. Dwóch mężczyzn siedzących na dziobie zeskoczyło do wody, żeby wyciągnąć łódź na skalistą plażę. Jej rufa po brzegi wypełniona była towarami.

W następnej chwili uwagę Lorindy przykuło jakieś poruszenie na brzegu. Powyżej, w lesie, dostrzegła idące rzędem kucyki, prowadzone w kierunku zatoki przez chłopca.

Wszyscy wioślarze wyszli już na brzeg i zdecydowała, że jest to odpowiedni moment, żeby ich zagadnąć. Zrobiła krok do przodu i nagle zamarła z przerażenia. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale dźwięk został zduszony, zanim wydobył się z jej gardła. Czyjaś ręka przykryła jej usta, a ramię objęło kibić żelaznym uchwytem.

Nie słyszała, żeby ktoś do niej podchodził i wstrząs wywołany świadomością, że jest obezwładniona, na moment wprowadził ją w osłupienie.

Chwilę później zaczęła się wyrywać. Miotła się, kopała, próbowała się wykręcić - wszystko bez najmniejszego skutku. Uścisk był tak silny, że z trudem łapała powietrze, a ręka przyciskała jej usta z siłą graniczącą z brutalnością. W kompletnej ciszy walczyła desperacko.

W trakcie szarpaniny zsunęła się jej z głowy czapeczka i fala rudych włosów rozsypała się kaskadą na ramiona. Wtedy dopiero napastnik przerwał ciszę, roześmiał się gardłowo i było to bardziej przerażające, niż gdyby zaczął przeklinać.

Nagle poczuła się wyczerpana całym wysiłkiem, jaki włożyła, żeby się uwolnić. Walczyła rozpaczliwie, lecz wszelkie próby nie odniosły najmniejszego skutku. Nie mogła złapać oddechu i przez moment jej ciało zawisło bezwładnie na ramieniu napastnika. Wtedy mężczyzna powiedział niskim głosem:

- To nie jest zajęcie dla ciebie. Idź do domu!

Apodyktyczny ton jego głosu wprowadził ją w furję. Znowu zaczęła się wyrywać, nie mając jednak nadziei, że się jej to uda. Kiedy podniósł ją do góry, wierzgała do tyłu nogami. To także nic nie pomogło. Odniósł ją z powrotem tą samą drogą, którą przyszła. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie las był bardzo gęsty i gdzie światło dzienne jeszcze nie docierało, postawił ją na ziemi.

- Idź do domu - powiedział. - A swoje pieniądze zachowaj na jakiś lepszy cel.

Zdjął rękę z jej twarzy i wtedy dopiero poczuła, jak bardzo bolesny był to uścisk.

Chociaż było ciemno, chciała się odwrócić i stanąć z nim twarzą w twarz. Przytrzymał ją jednak mocno za ramiona i popchnął do przodu. Wydawało się, że nie ma innego wyjścia, poszła więc przed siebie.

Zrobiła parę kroków i ogarnęła ją złość, że oto wykonuje polecenia jakiegoś nieznanego; wściekle rozgniewana sposobem, w jaki ją potraktowano, odwróciła się,

W lesie było bardzo ciemno. Z trudem można było rozpoznać zarysy pni drzew. Wpatrywała się w ciemność z nadzieją, że jeśli po wypuszczeniu jej napastnik stanął bez ruchu, to z pewnością go dojrzy. Nic jednak nie spostrzegła. Nie było śladu żadnego człowieka, nie było słyhać najmniejszego szmeru.

Stała niezdecydowana, zastanawiając się, czy nie powinna na przekór nieznanemu wrócić do przemytników. Potem

przyszło jej do głowy, że przecież mógł być jednym z nich. Jak bowiem inaczej mógłby odgadnąć, że przyniosła ze sobą pieniądze, które chciała zainwestować w ich następną wyprawę do Francji?

Przez kilka minut stała, nie wiedząc, co powinna zrobić. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że bardzo bołą ją usta i podbródek, a skutkiem uścisku ramienia napastnika były co najmniej potężne siniaki, może nawet złamane żebra.

W walce z nim nie miałyby żadnej szansy i dlatego musi zrobić to co jej nakazał.

Kipiała gniewem, którego nie potrafiła opanować. Pierwszy raz w życiu ktoś ją pokonał, ktoś udaremnił jej zamiary. Dodatkowo irytowało ją to, że nie wiedziała, kim był napastnik ani jak wyglądał.

Lorinda wyszła ze stajni z płonącymi policzkami i uśmiechem na ustach. Właśnie wróciła do Priory. Cały poranek ujeżdżała dzikiego źrebca dla jednego z farmerów mieszkających na terenie ich posiadłości.

Farmer opowiedział jej, jak to kupił go na targu w Falmouth i dopiero po powrocie do domu zorientował się, że koń nie umie chodzić pod siodłem.

- Taniom go kupił, jaśnie panienko - powiedział z wyraźnym akcentem - teraz to wiem, żem forszę zmarnował.

- Ja ci go ujeżdżę - powiedziała Lorinda z nagłym błyskiem w oczach.

- Dziękuję pięknie, jaśnie panienko, tylko ja bym nie chciał, żeby panienka sobie kark skrećiła.

- Na pewno tego nie zrobię - uspokoiła go Lorinda. Zmagala się ze źrebakiem prawie dwie godziny, pod koniec jednak nie było wątpliwości, kto był w tym pojedynku zwycięzcą. Koń dużo jeszcze wymagał pracy, ale poczuł już, że Lorinda jest górą. Ona zaś wiedziała, że niedługo będzie reagował na jej polecenia.

Na podjeździe przed domem zobaczyła bardzo elegancką bryczkę zaprzęzoną w dwa konie kasztanowej maści i tak wielkiej urody, że na ich widok wstrzymała oddech. Ponieważ stał przy nich jakiś stajenny, Lorinda zorientowała się, że właściciel bryczki musi być w domu z jej ojcem.

W korytarzu przyśpieszyła kroku, zastanawiając się, kto składa im wizytę.

Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się przebrać. Miała na sobie bryczesy ojca, długie, czarne buty do konnej jazdy i srebrne ostrogi. Dzień był gorący, więc górę stroju dopełniała tylko chłopięca koszula i jedwabna apaszka, którą przewiązała szyję.

Był to odpowiedni strój do ujeżdżania konia, jednak farmer przyglądał się jej z pewnym zdziwieniem. Uznała więc, że im wcześniej się przyzwyczają do jej wyglądu, tym lepiej.

To, czego dokonała tego poranka, nie byłoby możliwe, gdyby miała na sobie krępujący ruchy damski strój i gdyby po damsku dosiadała konia.

Włosy zczesła do tyłu w kok, który był mocno zawiązany, kiedy rozpoczynała swoje poranne zmagania. Teraz jednak kosmyki włosów, które się z niego uwolniły, opadały lokami na czoło.

Nie zwracając uwagi na swój wygląd, Lorinda otworzyła drzwi do salonu.

Jak można było przypuszczać, ojciec nie był sam. Stał wraz z gościem przy oknie, żywo o czymś rozprawiając. Kiedy weszła, obaj odwrócili się w jej stronę. Nieznajomy był wysokim, barczystym mężczyzną i w jakiś szczególny sposób, choć nie potrafiła tego określić, różnił się od wszystkich mężczyzn, jakich do tej pory spotkała w życiu. Właściwie nie był przystojny, ale jego twarz przykuwała wzrok. Spod

wyraźnie zarysowanych brwi ciemne oczy patrzyły uważnie i przenikliwie.

Przyglądał się jej w sposób, który łatwiej przyszło jej uznać za impertynencję niż zainteresowanie, a kiedy się do nich zbliżała, na jego ustach igrało coś na kształt cynicznego uśmiechu. To również ją uraziło.

- A, tu jesteś, Lorindo! - powiedział ojciec. - Pytałaś o pana Durstana Hayle'a, a oto i on we własnej osobie!

Lorinda wyciągnęła rękę:

- Miło mi pana poznać.

Mocno uściśnął jej dłoń, a kiedy na nią patrzył, pierwszy raz przyszło jej do głowy, że powinna była przebrać się w suknię. Spodziewał się chyba, że dygnie, a w bryczesach trudno to było wykonać.

- Ujeżdżałam młodego żrebaka dla farmera Trevi - na - powiedziała i z miejsca poczuła irytację, że się tłumaczy. Odruchowo przybrała wyniosłą minę i przesłała panu Hayle'owi harde spojrzenie. A jego wyraźnie coś rozbawiło, kiedy na nią patrzył.

- Zostawię pana teraz, milordzie, aby miał pan czas przemyśleć propozycję, jaką złożyłem. Odpowiedź chciałbym znać już wieczorem, a najpóźniej jutro rano.

- Jaką propozycję? - zapytała Lorinda.

- Po moim wyjściu ojciec wszystko pani wyjaśni - odparł Durstan Hayle.

Na te słowa w Lorindę wstąpiła furia. Choć bez wątpienia gość nie mógł przecież wiedzieć, że ojciec nie podejmie żadnej decyzji bez uprzedniej z nią konsultacji.

- Chciałabym się dowiedzieć, o co tu chodzi? - nalegała.

Hayle omiółł ją wzrokiem i raz jeszcze wyczuła coś impertynenckiego w jego krytycznym spojrzeniu.

- Będę z niecierpliwością oczekiwał pańskiej decyzji, milordzie - powiedział i wyszedł z pokoju, nie spojrzawszy więcej w jej kierunku.

Patrzyła za nim w osłupieniu.

Nie był to z pewnością sposób, w jaki zachowywali się wobec niej mężczyźni przy pierwszym spotkaniu. Było to tym bardziej irytujące, że dostrzegła w Hayle'u jakąś wytworność, której nie spodziewała się znaleźć na prowincji.

Jego modne ubranie było dobrze skrojone, ale nosił je z pewną niedbałością, znamionująca, według Lorindy, człowieka niezwykle pewnego siebie, nie liczącego się zbyt z tym, co inni o nim pomyślą.

Nie zastanawiała się, skąd tyle o nim wie. Po prostu wyczuwała to wszystko instynktownie.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły i została z ojcem sama, spytała niespodziewanie ostro:

- Cóż takiego zaproponował ci, papo?

Ku jej zaskoczeniu hrabia nie odpowiedział od razu, tylko przeszedł przez pokój i usadowił się w fotelu. Wydawało się, że nie może znaleźć właściwych słów.

Lorinda patrzyła na niego wyczekująco.

- A wiec? - zapytała. - To z pewnością coś niezwykłego, inaczej twój gość nie robiłby z tego takiej tajemnicy.

Mówiła z wyrzutem, a ojciec wyraźnie unikał jej spojrzenia. Po chwili podeszła do niego i powiedziała stanowczo:

- Powiedz mi, papo. Wcześniej czy później i tak będziesz musiał to zrobić.

- Hayle chce kupić Priory wraz z całą posiadłością. Lorindzie zaświeciły się oczy.

- Ależ to rozwiązuje wszystkie nasze problemy! Ile zaoferował?

- Osiemdziesiąt tysięcy funtów.

- Powiedziałeś... osiemdziesiąt? Lorindzie zaparło dech w piersiach. - Ależ on chyba zwariował! Wszystko razem nie jest warte połowy tej sumy!

- Podkreślił, że czterdzieści tysięcy wystarczy na pokrycie długu, a drugie czterdzieści będę miał dla siebie. Musisz się zgodzić, że to bardzo godziwa oferta.

- Oczywiście, że tak. Ten człowiek musi być obłąkany lub mieć jakiś dobry powód, żeby tak rozrzucać pieniądze. Zgodziłeś się, oczywiście?

- Pomyślałem, że najpierw muszę z tobą o tym porozmawiać.

- Wiedząc, że się zgodzę - powiedziała Lorinda. - To jest wiele więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Pozbędziesz się długu, a postępując rozsądnie, będziemy mogli dobrze żyć z kapitałem czterdziestu tysięcy funtów.

- Hayle zasugerował mi, żebym wyjechał do Irlandii - dodał hrabia. - Nic, oczywiście, o tym nie wspominałem, ale widać wie, że na razie nie chcę wracać do Londynu.

- Skąd mógłby to wiedzieć? - zdziwiła się. Ojciec wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale nie oponowałem. Jest mi to bardzo na rękę.

- Nie, nie możesz tam wracać, nawet po spłaceniu długu - zgodziła się Lorinda. - Irlandia to niezły pomysł. Można tam wspaniale polować. Na pewno będzie mi się tam podobało.

Zaległa cisza, po czym hrabia powiedział:

- Ciebie tam nie będzie.

- Jak to, nie będę... Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jest... pewien warunek sprzedaży. Lorinda patrzyła na ojca zmieszana.

- Jaki warunek?

- Musisz go poślubić.



Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Na chwilę odebrało jej mowę. Potem wydusiła z siebie:

- Czy... to jakiś... żart, papo?

- Nie. Tak wygląda oferta Hayle'a: kupi Priory i posiadłość, a skoro nie ma żadnego Camborne'a, żeby podtrzymać wiekowe tradycje, poślubi ciebie i w ten sposób to wszystko po części będzie ciągle do ciebie należało.

- Ależ on oszalał! - wykrzyknęła Lorinda. - Nigdy w życiu nie słyszałam nic bardziej absurda!

Wyciągnęła rękę, żeby oprzeć się o kominek, jakby grunt usuwał się jej spod nóg, i powiedziała:

- Spodziewam się, że pertraktowałeś z nim, papo. Czy zaproponowałeś mu niższą cenę, jeżeli zostanie wyłączona z transakcji?

- Postawił sprawę jasno. Jest zainteresowany kupnem tylko wówczas, gdy zostaniesz jego żoną - wyjaśnił hrabia.

- To niemożliwe, żeby tak myślał! Nigdy przedtem mnie nie widział, a jeśli nawet, choć nic mi o tym nie wiadomo, na pewno nie wygląda na człowieka, który jest we mnie zadurzony.

Kiedy to powiedziała, pomyślała, że to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak była ubrana. Ale zaraz doszła do wniosku, że jeśli był zgorszony, to i lepiej. Trzeba mu wyperswadować ten idiotyczny pomysł. Może dostać Priory i ziemię za niespełna trzydzieści tysięcy. Prawdę mówiąc, nie liczyła nawet na tyle. Lecz propozycja poślubienia obcego człowieka, o którym nic nie wiedzieli, była dla niej pomysłem tak niedorzecznym, że nie zamierzała go nawet rozpatrywać.

- Będę musiała z nim porozmawiać - powiedziała na głos.

Ojciec poruszył się niespokojnie.

- Hayle dał mi jasno do zrozumienia, że chce rozmawiać wyłącznie ze mną. Zdaje mi się, że nie ma wielkiego mniemania o kobiecej przenikliwości w interesach.

- Przekona się tedy, że się pomylił.

- Upiera się, żeby dostać odpowiedź dziś wieczorem lub najpóźniej jutro rano. Zdaje mi się, że zamierza po południu wyjechać.

- A więc dyktuje nam warunki - odparła Lorinda. - Wiesz dobrze, papo, że są one absolutnie nie do przyjęcia!

Ojciec podniósł się z krzesła.

- Psiakrew, Lorindo! Nie wolno ci tak uważać. Nie dostaniemy lepszej propozycji i dobrze o tym wiesz. Któż inny będzie gotów wyłożyć osiemdziesiąt tysięcy funtów za tę kupę gruzów i posiadłość, w której znowu trzeba utopić tysiące?

Lorinda wiedziała, że to prawda.

- Co więcej, będę się stąd mógł wyrwać - powiedział hrabia. - Dłużej już tego nie zniosę! Prawdę mówiąc, mogę ci od razu przysiąc, że jeśli nie przyjmiesz tej oferty, to się zastrzelę. Tak jak zamierzałem, zanim mi przeszkodziłaś.

Podszedł do okna.

- Prowincja bez pieniędzy, bez koni, bez domu, gdzie mógłbym gościć ludzi, bez sportu jest nie do zniesienia! Wszystko to mógłbym mieć w Irlandii i grać sobie w karty w gronie zacnych przyjaciół.

- A żeby to wszystko osiągnąć, oczekujesz ode mnie, że poświęcę siebie? - zapytała ostro.

- Musisz kogoś poślubić - odparł hrabia. - Przyznaj sama, że odrzuciłaś już wystarczająco dużo propozycji. Dlaczego, u diabła, nie wzięłaś sobie bogatego męża, kiedy była po temu okazja?

Lorinda westchnęła. Nie potrafiła odpowiedzieć.

- A ja gdybym dobrze wypełniał swoje ojcowskie obowiązki, powinienem przypilnować, żebyś wyszła za mąż - ciągnął hrabia. - Młode panny same nie wybierają sobie mężów - to one są wybierane. Powinienem był obstawać przy

tym, żebyś poślubiła Dawlisha, który jest wystarczająco bogaty, żeby...

- Ale półgłówek - wtrąciła Lorinda.

- Lub Edwarda Hinton. Przynajmniej pochodzi z dobrej rodziny - kontynuował. - Na co ty czekasz? Na Archanioła Gabriela, żeby zstąpił z niebios? Czy szacha Persji, żeby ofiarował ci swój tron? Jesteś tylko kobietą i potrzebny ci dom i mąż, który by cię krótko trzymał.

- A tobie się wydaje, że pan Hayle mi to zapewni? - spytała.

Kiedy to mówiła, ujrzała znów twarz Durstana Hayle'a, jego twarde spojrzenie i cynicznie wykrzywione wargi.

- Nie wyjdę za niego! - oświadczyła. - Nie dam się zniszczyć, żebyś ty mógł mieć wieczne wakacje!

Zapadło milczenie. Oczy hrabiego zwięzły się niebezpiecznie.

- Owszem, poślubisz go - powiedział. - Choć jeden raz będziesz mi posłuszna, Lorindo. Dyskusja zakończona!

Chciała coś powiedzieć, ale ojciec dodał szybko:

- Przyjmę propozycję Hayle'a i ślub odbędzie się w dogodnym dla niego terminie. Dużo mówisz o honorze naszej rodziny. Więc kiedy już będę miał w garści jego pieniądze, możesz zrobić, co zechcesz, ze swoją częścią zobowiązania.

Skończył mówić i odwrócił się.

- Papo... nie możesz tego zrobić! - krzyknęła Lorinda.

Nie odpowiedział. Po prostu wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Siedziała wpatrując się przed siebie, po czym ukryła twarz w dłoniach. - Nie wyjdę za niego! Nie wyjdę! - powtarzała bez końca przez resztę popołudnia. Około piątej zobaczyła, że jeden ze stajennych czeka przed frontowymi drzwiami. Od razu domyśliła się, o co chodzi.

Wtargnęła do salonu, gdzie znalazła ojca pieczętującego właśnie napisany list. Kiedy na nią spojrział, zorientowała się, że dużo wypił.

- Przyjąłem propozycję Hayle'a - wymamrotał - i nic już nie możesz zrobić!

Lorinda uznała, że w tym stanie niepodobna się z nim sprzeczać. Choćby z tej prostej przyczyny, że nawet gdyby zrobiła mu teraz awanturę, było bardzo wątpliwe, czy cokolwiek z tego zapamięta.

Podjęła inną decyzję.

- Daj mi ten list - poprosiła.

- Jeżeli go podrzesz, napiszę drugi.

- Nie mam zamiaru go drzeć - odparła. - Sama zawiozę go panu Hayle'owi.

Wyciągnęła rękę i ojciec niechętnie wręczył jej list.

- Jeżeli przez ciebie nie dostanę tych pieniędzy na wyjazd do Irlandii - powiedział - przysięgam, że cię uduszę! Miałem już zamiar to zrobić, kiedy się urodziłaś.

- Chciałeś syna i sprawiłam ci przykrą niespodziankę - odparła. - Teraz jest już za późno, żeby to roztrząsać, papo. Natomiast wcale nie jest za późno, żebym powiedziała panu Hayle'owi, co o nim myślę.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju. Przed podwieczorkiem przebrała się w popołudniową suknię, na ramiona zarzuciła białą chustę. Nie było więc teraz sensu ponownie się przebierać. Wysłała stajennego, żeby zmienił siodło na damskie, po czym go odprawiła.

Nigdy nie przejmowała się tym, co ma na sobie, kiedy dosiada konia; teraz też bez kapelusza, rękawiczek, z cienką szpicrutą w dłoni wyruszyła w kierunku zamku Penryn.

Przez pola odległość od Priory do zamku nie była większa niż dwie mile. Drogą było znacznie dalej.

Upał już się skończył i długie, purpurowe cienie kładły się pośród ukwieconych łąk. Lorinda jednak nie dostrzegała piękna, krajobrazu. Była zmartwiona i wystraszona jak nigdy. Miała przerażające uczucie, że porywa ją jakaś fala przyływu i nic już nie może zrobić, żeby się ocalić.

To ironia losu, pomyślała, że ona, która przez dwa lata odmawiała wszystkim konkurentom, składającym u jej stóp swoje serca, teraz jest w pułapce. Zawisła nad nią groźba ołtarza, choć każdym zmysłem buntuje się przeciw zamążpójściu.

- Jak on może chcieć czegoś tak kompletnie absurdalnego? - pytała siebie.

Próbowała potraktować całą sytuację jako żart. Jednak czuła, że Durstan Hayle nie jest żartownisiem i mówi dokładnie to, co myśli.

- Nie lubię go - mówiła do siebie. - I choćby dlatego pomysł, żeby go poślubić, jest niedorzeczny.

Zamek widać było już z daleka, ponieważ położony był na wzgórzu. Zbudowano go w czasach, kiedy rozsądnie było widzieć zbliżającego się wroga.

Właściwy zamek był starą fortecą, ale przez wieki obrósł wieloma dobudówkami. Tak więc, prócz ocalałej kamiennej wieży, dom był mieszaniną dodatków w stylu elżbietańskim, fragmentów z czasów królowej Anny oraz innych z wczesnej epoki georgiańskiej.

Jednak w czasach dzieciństwa Lorindy nie mieszkał tu żaden Penryn. Olbrzymie, puste pokoje z zawalonymi sufitami i krętymi schodami, które dawały schronienie tylko duchom, były rozkoszą i radością jej dzieciństwa. Pamiętała gonitwy z pokoju do pokoju, niebezpieczne zjeżdżanie z dachu i zabawę w chowanego w pustym budynku, gdzie głosy niosły się zwielokrotnionym, nieziemskim echem.

Teraz, kiedy się zbliżała, dostrzegła, że w okna wprawiono wszystkie szyby, a ogród odzyskał swoją świetność.

- Pieniądze są kluczem do wszystkiego! - powiedziała do siebie z pogardą i z lekkim skurczem żołądka pomyślała o zaniedbanym i zarośniętym ogrodzie w Priory, który był kiedyś dumą jej matki.

Podjechała do olbrzymich drzwi z mosiężnymi okuciami. Stajenny pośpieszył jej naprzeciw, aby przytrzymać konia, kiedy zsiadała. Weszła po schodach. Drzwi się otworzyły i zobaczyła czekającego na nią kamerdynera. Obok niego stało w szeregu kilku lokai w liberiach.

- Chciałabym mówić z panem Durstanem Hayle'em - powiedziała donośnym, władczym głosem.

- Oczywiście, jaśnie pani - odrzekł sługa. - Kogo mam zaanonsować?

- Lady Lorinda Camborne - oznajmiła i po błysku, który na dźwięk jej imienia zapalił się w jego oczach, poznała, że jest Kornwalijczykiem.

Z dostojną miną poprowadził ją korytarzem, który odrestaurowano w sposób budzący podziw. Po raz pierwszy mogła docenić przepiękne sztukaterie, kiedyś brudne i poobtłukiwane. W niszach poustawiano posągi, a z krętych schodów zniknęły dziury.

Kamerdyner otworzył drzwi do biblioteki, która zawsze w jakiś szczególny sposób wydawała się bardziej pusta niż inne pokoje. Przed laty jedynie podłamane półki przywodziły na myśl jej wcześniejsze przeznaczenie.

W pierwszej chwili Lorinda zaniemówiła na widok przemiany, która się tu dokonała. Stała rozglądając się dookoła.

Sufit został odmalowany ręką mistrza, a na wszystkich ścianach zamontowano regały wypełnione książkami. Cudownie rzeźbiony kamienny kominek, w jej pamięci

zabrudzony i poczerniały ze starości, teraz lśnił bielą, a puste palenisko wypełnione było kwiatami.

- Lady Lorinda Camborne, sir! - zaanonsował ją kamerdyner.

Na te słowa pan Hayle podniósł się z fotela, gdzie czytał gazetę. Podchodząc do niego zauważyła, że znowu bacznie się jej przygląda i pożałowała, że nie włożyła na głowę czepeczka.

Dygnęła, a on odpowiedział ukłonem.

- To niespodzianka - zagał - chociaż prawdę mówiąc, spodziewałem się, że zechce pani ze mną mówić.

- To chyba oczywiste, nieprawdaż? - spytała Lorinda.

- Zechce pani usiąść.

Wskazał krzesło, a ona usiadła z wdziękiem, świadoma jednak pewnej sztywności swoich ruchów.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał zajmując fotel. - Czy może to zbyt ciche pytanie?

- Przyszłam się dowiedzieć, czy rzeczywiście podtrzymuje pan tę absurdalną propozycję, którą złożył mojemu ojcu.

- Nie wydaje mi się, aby osiemdziesiąt tysięcy funtów było absurdalną propozycją.

- Nie miałam na myśli pieniędzy, które zaoferował pan za Priory, lecz postawiony przez pana warunek kupna.

- Tak mi się właśnie zdawało, że się pani nie spodoba - powiedział z uśmiechem, który ją rozdrażnił.

- Po cóż więc było go stawiać, skoro wiedział pan, że odmówię?

- Jeśli to jest odpowiedź pani ojca, lady Lorindo - odparł Durstan Hayle - to nie wydaje mi się, żebyśmy mieli o czym dyskutować.

Powiedział to chłodno i wstał.

Lorinda gapiała się na niego w osłupieniu. Nigdy by się nie spodziewała, że kiedykolwiek spotka mężczyznę, który w taki sposób będzie się wobec niej zachowywał.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, o których chciałabym powiedzieć - zauważyła po chwili przerwy.

- Propozycja, jaką przedstawiłem pani ojcu, jest bardzo prosta - odpowiedział. - Wszystko Albo nic!

- Ale dlaczego chce się pan ze mną ożenić? - zapytała.

- Szkoda by było, żeby żaden z Camborne'ów nie posiadał, choćby częściowo, prawa do ziemi, która od przeszło pięciuset lat była ich własnością.

- Czy to jest przyczyna, dla której poprosił pan o moją rękę? - chciała wiedzieć Lorinda.

- Nie widzę żadnej ważniejszej - odpowiedział. - Historia Kornwalii wiele dla mnie znaczy.

Chyba pierwszy raz w życiu Lorinda poczuła się zagubiona. Nikt nigdy nie oświadczył się jej w tak bezkompromisowy i beznamiętny sposób.

- Przyszłam tu zaproponować panu - powiedziała po chwili - dom oraz ziemię za sumę znacznie niższą, jeżeli tylko zostanę wyłączona z kontraktu.

- Nie mam zamiaru o tym dyskutować - oświadczył Durstan Hayle. - I jak już wspomniałem pani ojcu, interesy wolę załatwiać z mężczyznami.

- Kiedy interes tak bardzo mnie dotyczy, chcę w nim uczestniczyć.

- Proszę bardzo lady Lorindo. Zakładam, że rozumie pani po angielsku. Moja oferta jest aktualna do jutrzejszego ranka. Po tym terminie traci ważność.

- Chcę pana prosić, aby poszedł pan na kompromis. - Odmawiam. Jeśli nie ma pani nic więcej do powiedzenia na ten temat, proszę mi pozwolić odprowadzić się do powozu.



Najwyraźniej spodziewał się, że Lorinda wstanie, ale nawet nie drgnęła.

Była zagubiona. Czuła się tak, jakby natrafiła na mur, a jednak nie chciała się przyznać do porażki. Rozpatrywała szybko w myślach wszelkie możliwe sposoby, którymi mogłaby nakłonić go, żeby zmienił zdanie i poszedł na kompromis.

Zorientowała się, że ją obserwuje. I znowu dostrzegła na jego ustach ten cyniczny uśmiezek, który sprawiał, że zdawało się jej, o zgrozo - choć oczywiście nie mogła to być prawda - iż ją lekceważy.

Przez moment pomyślała, że być może spodziewa się, iż zacznie go błagać, lecz tego, powiedziała sobie z dumą, przynigdy nie zrobi!

Zapędził ją w kozi róg i na razie nie widziała żadnej możliwości wybawienia. Była jednak zdecydowana, że się przed nim nie upokorzy i przeciwstawi mu się wszelkimi możliwymi sposobami.

- Czy przemyślał pan dobrze, jakie skutki może przynieść pańska niezwykła oferta? - zapytała.

- Jestem człowiekiem interesu - odparł Durstan Hayle - dlatego każdą transakcję rozpatruję na wszystkie możliwe sposoby.

Lorindzie nie spodobało się słowo „transakcja”, gdy w grę wchodziła jej osoba.

Zwróciła się ku niemu i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Z pewnością nie może pan poważnie myśleć o poślubieniu kobiety, która już teraz nie darzy pana sympatią. Niech mi wolno będzie wyjaśnić, że propozycję pana uważam za obraźliwą, a wszystko, co do tej pory zobaczyłam, napawa mnie wielkimi obawami o przyszłość.

- Pani jest bardzo szczerą - rzekł Durstan Hayle.

- A czy jest sens rozmawiać inaczej? - zapytała. - Pan mnie nie zna i dlatego nie może pan wiedzieć, jak przykra dla mnie jest myśl o zamążpójściu. Ja nienawidzę mężczyzn! I choć przez ostatnie dwa lata miałam wiele propozycji małżeństwa, żadną z nich nie byłam w najmniejszym nawet stopniu zainteresowana.

- To oczywiście znacznie upraszcza całą sprawę, nie sądzi pani? - powiedział. - Gdyby bowiem wzdychała pani do jakiegoś młodego galanta, którego nie może pani poślubić, byłaby to sytuacja między nami dość nieprzyjemna.

- Nie może być nic bardziej nieprzyjemnego, niż być zmuszoną do poślubienia mężczyzny, o którym nic nie wiem i który okazuje zupełną obojętność na to, co czuję - odcięła się Lorinda.

- Tak jak i pani na to, co czuję ja - odparł. Zachnęła się i wstała.

- Czy naprawdę zamierza pan przeprowadzić tę farsę? Ożenić się ze mną, ponieważ jestem z Camborne'ów...

Przerwała na chwilę, po czym powiedziała:

- Czy to jest właściwy powód? Kiedy już zrobił pan majątek, chce pan mieć żonę z arystokracji? W takim razie, panie Hayle, niech mi pan pozwoli coś sobie zaproponować. Jest wiele kobiet, które z największą przyjemnością przyjmą pana i pana majątek. Dlaczego nie wybierze pan jednej z nich?

- Ponieważ, nie posiadają one tak dogodnie położonej posiadłości, która przyłączona do mojej da mi dokładnie taką liczbę hektarów, na jakiej mi zależy.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Lorinda miała ochotę zacząć krzyczeć albo go uderzyć.

Jak to możliwe, żeby ktoś był tak nieznośnie kołtuński, zadowolony z siebie i pełen poczucia wyższości, szczególnie kiedy nie ma po temu żadnego powodu?

- Może pan mieć naszą posiadłość - powiedziała - ale czemu nie miałby pan sięgnąć wyżej? Z pewnością córka zbiedniałego hrabiego pana nie zadowoli. Jestem pewna, że znalazłby pan taką, której ojciec posiada książęce godło. Wtedy drzwi wszystkich salonów stałyby przed panem otworem.

- Jest to jakiś pomysł - powiedział chłodno Durstan Hayle. - Ale ja wybrałem panią.

Mógłby być sułtanem oznajmijającym swoją przychylność jednej ze swoich konkubin - z furją pomyślała Lorinda.

Stała naprzeciw niego, złość tliła się w jej zielonych oczach i czuła, jak w piersiach, pod falbankami zarzuconej na ramiona chustki, wzbiera wzburzenie.

- Czy odpowiedź brzmi tak, czy nie? - spokojnie zapytał Durstan Hayle.

Lorinda marzyła w tej chwili, żeby rzucić mu w twarz tę jego ofertę lub podrzeć na jego oczach list od ojca i powiedzieć, żeby poszedł do diabła.

Potem przypomniała sobie, jak mało pieniędzy już im zostało, a także o tym, że ojciec rzeczywiście może wprowadzić w życie swoją groźbę, jeżeli dłużej będzie musiał znosić biedę i samotność.

Powoli, czując gwałtowną nienawiść do stojącego przed nią mężczyzny, Lorinda wyjęła z kieszonki list od ojca. Przez chwilę pomyślała z wściekłością, że podpisuje na siebie wyrok śmierci albo skazuje się na więzienie, z którego nie ma ucieczki i gdzie znosić będzie piekielne męczarnie.

Nagle z odcieniem dumy, której doprawdy nie odczuwała, wręczyła mu list od ojca.

- Oto jest odpowiedź mojego ojca ze zgodą na pańską ofertę - powiedziała pogardliwie. - Ale chciałabym, żeby nie miał pan żadnych złudzeń: myślę o tym z nienawiścią, a samo wspomnienie ślubu przyprawia mnie o mdłości!

Odebrał od niej list z ironicznym ukłonem.

- Podjęła pani słuszną decyzję, ale, prawdę mówiąc, nie miała pani wielkiego wyboru - powiedział.

Lorinda nie odpowiedziała na ukłon; poszła prosto do drzwi i poczekała, aż je przed nią otworzy. Szła dalej w milczeniu. Raz jeszcze w korytarzu stali w rzędzie lokaje. Bez pożegnania minęła frontowe drzwi i zeszła po schodach aż do miejsca, gdzie czekał jej koń.

Miała nadzieję, że Durstan Hayle będzie zaskoczony, kiedy zobaczy, w jaki sposób tu przyjechała.

Stajenny pomógł jej wsiąść, a ona mocno wbiła ostrogi i koń ostro ruszył z miejsca, wyrzucając spod kopyt lawinę żwiru.

Nie obejrzała się za siebie, ale miała wyraźne, choć nieprzyjemne uczucie, że Durstan Hayle przygląda się jej z kpiącym i cynicznym grymasem ust.

## Rozdział 4

Lorinda stała przy oknie w swoim pokoju, spoglądając na park.

Był olśniewająco słoneczny dzień. Burza kwiatów w ogrodzie iskrzyła się kolorami na tle zieleni przerośniętych cisowych żywopłotów i delikatnych krzewów.

Obudziła się z uczuciem, że zdarzy się coś złowieszczego. Jak uderzenie piorunem wróciło wspomnienie, że dziś jest dzień jej ślubu. Długo w nocy nie mogła zasnąć, mając ciągle nadzieję, że wybawi ją jakiś cud i dzień jutrzejszy nigdy nie nadejdzie.

Została jej jeszcze godzina, zanim ojciec powiedzie ją do małego szarego kościółka, w którym była ochrzczona, a teraz zostanie poślubiona z nienawidzonemu mężczyźnie.

Od czasu wizyty w zamku i swej upokarzającej porażki nie widziała więcej Durstana Hayle'a. Wyjechał gdzieś, ale przygotowania do ślubu trwały pod jego nieobecność i była dokładnie informowana przez jego zarządcę o wszystkim, co ma się wydarzyć. Po ceremonii zaślubin odprawionej przez pastora państwo młodzi udadzą się do zamku na weselne śniadanie, na którym obecne będą wszystkie znaczące osobistości z całego hrabstwa. Lorinda nie miała pojęcia, kto będzie, lecz nie zniżyła się do tego, żeby zapytać. Jej zdaniem jednak nie mogło być wiele osób.

Po śniadaniu mają się spotkać ze służbą i dzierżawcami, dla których specjalne przyjęcie przygotowane zostanie w wielkiej stodole Tithe. Lorinda pamiętała, że budynek nie miał dachu, ale teraz z pewnością został odremontowany.

Po zapadnięciu zmroku przewidziano pokaz sztucznych ogni oraz tańce w ogrodzie - z trupą taneczną Morisa jako główną atrakcją wieczoru.

Dawno wyraziłaby niezadowolenie z przygotowań i zaczęła otwarcie okazywać wzgardę, gdyby nie ciągle

zachwyty ojca, który oznajmił, że wszystko w przeszłości odbywało się dokładnie tak samo i on sam pamięta z dzieciństwa właśnie takie uroczystości.

Lorinda nie miała żadnych wiadomości od swojego przyszłego męża, ale kiedy tylko o nim myślała, czuła coraz większą antypatię, aż w końcu sama przelekła się intensywności tych uczuć.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - powtarzała bez przerwy, czując, że pętla wokół niej zaciska się coraz bardziej, a następnego dnia nie będzie już dla niej ratunku.

Ubrała się w sukienkę, w której zamierzała wystąpić na uroczystości.

Wcześniej tego ranka, zaraz po przebudzeniu, usłyszała, że pani Dogman wdrapuje się na górę po schodach. Przyniosła ze sobą olbrzymie pudło, które, jak powiedziała, dostarczono z zamku. Jeszcze zanim je otworzyła, Lorinda domyśliła się, co znajdzie w środku i kiedy podniosła wieko, okazało się, że miała rację. Durstan Hayle przysłał jej ślubną suknię!

Prawdę mówiąc, była to jedna z najpiękniejszych sukien, jakie kiedykolwiek widziała, i dla niej wymarzona. Z białej matowej satyny pokrytej delikatną mgiełką tiulu w tym samym kolorze, który podkreśliłby jej jasną karnację, a rude włosy płomiennie lśniłyby pod prześlicznym koronkowym welonem. Ale Lorinda nie miała zamiaru pozwolić, aby Durstan Hayle wybierał jej ślubną suknię i na domiar złego jeszcze za nią płacił. Włoży taką, jaką wybierze sama - nikt nie będzie za nią decydował, dopóki na jej palcu nie ma obrączki.

Nawet gdyby chciała kupić sobie na tę okazję coś nowego, i tak nie miała na to pieniędzy. Nie na darmo jednak miała szafę wypełnioną po brzegi eleganckimi sukniami, które w Londynie wzbudzały ogromny podziw.

Przeglądała je odrzucając to tę, to tamtą, aż w końcu z rozbawieniem sięgnęła po jedną. Powód nagłego przyływu dobrego humoru był prosty - suknia nie była biała (choć nie brakowało takich w jej garderobie), lecz zielona. Takiego jej zachowania oczekiwaliby niedawni znajomi i miała przewrotną nadzieję, że konwencjonalnych Kornwalijszczyków i samego Durstana Hayte'a ten strój wprawi w zakłopotanie.

Do zielonej sukni, w zasadzie przeznaczonej na wieczór, włożyła kapelusz z szerokim rondem, który ozdobiła strusimi piórami, także w zielonym kolorze. W tej całości wyglądała bardzo pięknie, ale zważywszy okazję, raczej wyzywająco. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, pomyślała, że Durstan Hayle domyśli się, że ten prowokujący wygląd jest zamierzony.

- Nie będę mu uległa! - przyrzekła sobie. - Ponieważ mnie kupił, ze wszystkich sił będę się starała uprzykrzyć mu życie i przysporzyć kłopotów.

Dumnie podniosła głowę i jej zielone oczy zalśniły jak zawsze, gdy była gotowa do walki.

Odwróciła się od lustra, żeby skończyć pakowanie, kiedy usłyszała głos ojca. Było jeszcze za wcześnie na wyjazd do kościoła, zastanowiła się więc, o co może chodzić. Pomyślała, że pewnie znalazł jeszcze jakieś rzeczy, które chciałby zabrać ze sobą do Irlandii.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni poprzedzających ślub Lorinda nie miała dla siebie chwili czasu. Podniecenie ojca przed wyjazdem do nowego kraju można by przyrównać do tego, co odczuwa w internacie mały chłopiec, który udaje się na wakacje do domu. Pił znacznie mniej niż zwykle. Był całkowicie pochłonięty gromadzeniem wszystkich rzeczy, które wydawały mu się atrakcyjne lub sądził, że się przydadzą w nowym domu.

- Przypuśćmy, że pan Hayle nie zgodzi się, żebyś zabrał wszystkie te rzeczy? - zasugerowała Lorinda. - Ostatecznie kupił ten dom z całym dobrodziejstwem inwentarza i wszystko tutaj należy do niego.

- Ani on, ani ty nie potrzebujecie tych wszystkich rodzinnych portretów - odparł ojciec - a ja nalegam, żeby mieć przy sobie paru przodków.

Lorinda przypuszczała, że ojciec chce zrobić wrażenie. Hrabia przypomniał już sobie o kilku osobach w Irlandii, które poznał w ciągu minionych lat, i musiała napisać kilka listów, zapowiadających jego przyjazd.

Nie trzeba dodawać, że wszystko, co ze sobą zabierał, musiała spakować Lorinda i służba. Było to wyczerpujące zajęcie; z niewielkiego stosiku osobistych rzeczy wyrosła w holu góra bagażu, która z każdym dniem leszcze się powiększała.

- Dlaczego po prostu nie weźmiesz ze sobą całego domu, i sprawa byłaby załatwiona? - zapytała pewnego razu.

- Wziąłbym, gdybym mógł - westchnął hrabia. - Gdybyśmy tak mieli pieniądze Hayle'a i mogli je wydać na Priory, to dopiero byłoby чудо!

- Wtedy musiałbyś mieszkać w Kornwalii, a to cię nudzi.

- To prawda - przyznał. - Zawsze mi mówiono, że Dublin jest wesołym miastem, a sale do gier ma prawie tak dobre jak Londyn.

Lorinda westchnęła. Nie było sensu przestrzegać ojca przed graniem. Wiedziała, że to strata czasu. Nie mogła jednak odpędzić od siebie myśli, że choć tym razem udało mu się uregulować dług, kiedy indziej może nie mieć tyle szczęścia.

- Jaki jest sens mówienia o tym? - pytała siebie. - Papa i tak będzie grał bez względu na konsekwencje oraz na to, co powiem.



- Lorindo! - powtórnie krzyknął hrabia.

- Co takiego, papo?

- Zejdź, proszę, na dół.

Posłusznie zeszła po schodach, spoglądając po drodze na stos bagaży, kufrów i podróżnych waliz, które teraz już wypełniły chyba cały korytarz.

Pomyślała, że ojciec musi być w salonie, lecz kiedy otworzyła drzwi, przekonała się, że nie jest sam.

Obok niego stał Durstan Hayle.

Lorinda musiała przyznać, że wyglądał bardzo dystyngowanie. Ubiór, który miał na sobie, wyróżniałby się elegancją w każdych okolicznościach. Kiedy spotkały się ich oczy, jego spojrzenie wydało się jej jeszcze bardziej niż poprzednio nieprzyjemne i niepokojące.

- Musisz podpisać akt małżeński - powiedział hrabia. - Twój przyszły mąż był na tyle przewidujący, że przywiózł go tutaj, żebyśmy nie musieli zatrzymywać się po ceremonii w zakrystii.

Czując na sobie spojrzenie Durstana Hayle'a, Lorinda ruszyła w kierunku biurka, na którym leżały urzędowe pisma. Kiedy stanęła, narzeczonemu zapytał: - Czy otrzymała pani suknię, którą przysłałem dziś rano?

Lorinda potwierdziła.

- Dlaczego więc jej pani nie włożyła?

- Ponieważ wolę wziąć ślub we własnej sukni.

- Czy tej, którą właśnie ma pani na sobie?

- Mam nadzieję, że się panu podoba - odpowiedziała wiedząc, że na pewno tak nie jest.

- Jestem przesądny.

- Czy naprawdę jest pan aż tak dziecinny, żeby wierzyć, że zieleń przynosi pecha?

- Na ślubie - tak! Proszę, żeby się pani przebrała.

- Nie mam zamiaru. Musi mnie pan wziąć taką, jaka jestem.

- Uważam, że nie przystoi panie młodej występować w zielonej sukni, Z pewnością zaszokuje to naszych znajomych i przyjaciół, którzy będą nas oczekiwali w kościele.

- Będą mieli o czym mówić!

- Uznałbym to za godne pożałowania, kiedy chodzi o moją żonę.

Lorinda przesłała mu rozbawione spojrzenie.

- A mimo to chce mnie pan poślubić! Jestem osobą, o której zawsze się mówiło.

- Zdaję sobie z tego sprawę. W przyszłości postaram się temu zapobiec.

- Zobaczymy - zauważyła enigmatycznie. Wzięła do ręki gęsie pióro i umoczyła jego koniec w kałamarzu.

- Gdzie mam podpisać?

Durstan Hayle położył rękę na dokumentach.

- Najpierw się pani przebierze.

Spojrzała na niego. Zaciśnięte usta i twardy wyraz twarzy podkreślały, że myśli dokładnie to, co powiedział.

- Już panu powiedziałam, że chcę wziąć ślub w zielonej sukni - odparła.

- Kobieta, którą poślubię, będzie ubrana na biało! Patrzyli na siebie nad blatem biurka. Nagle Durstan

Hayle szybkim ruchem zgarnął papiery.

- Przykro mi, milordzie - powiedział do hrabiego - lecz widzę, że lepiej będzie, jeśli te dokumenty zostaną podpisane po ceremonii w zakrystii.

Poszedł w kierunku drzwi.

- Poślubię tylko kobietę, która będzie wyglądała jak panna młoda. W kościele nie będę czekał dłużej niż trzy minuty po wyznaczonej godzinie.

Tak bardzo zaskoczył hrabiego i Lorinę, że zanim pomyśleli, co mają powiedzieć, już go nie było.

- Na miłość boską" Lorindo! - wykrzyknął ojciec. - Co ty wyprawiasz?! Czy nie masz choć tyle rozumu, żeby widzieć, że z nim nie możesz się bawić w kotka i myszkę?

Lorinda nie odpowiedziała, a ojciec dalej na nią krzyczał:

- Idź natychmiast na górę się przebrać! I nie licz na to, że on będzie czekał, jeśli się spóźnimy O, Boże, dlaczego pokarałeś mnie taką bezmyślną córką?

Mówił jak w gorączce i Lorinda czuła, że się obawia, iż w końcu nie będzie mógł wyjechać do Irlandii.

Nie mogła pozbawić go tej przyjemności. Nie mogli też pozostać w Priory bez środków do życia. Poszła więc na górę z uczuciem, że z każdym krokiem przybliża się coraz bardziej do szafotu.

Jak to się mogło stać, że znalazła się w takich tarapatach? Dlaczego w Londynie nie poślubiła jednego z tych, którzy ją kochali? Pomyślała, że już lepiej by było zostać nałożnicą Ulrika.

Ponieważ jednak czas uciekał, zaczęła zdejmować zieloną suknię. Pani Dogman przyczłapała na górę, żeby jej pomóc przy toalecie, włożyć koronkowy welon i umocować podtrzymujący go tradycyjny wianek z kwiatów pomarańczy. Kiedy skończyły, Lorinda musiała przy - znać, że chyba nigdy w życiu nie wyglądała tak pięknie. Pod delikatnym welonem jej twarz była zachwycająca i trochę nieziemska, jakby była jedną z nimf, które według kornwalijskiej legendy zamieszkiwały jeziora i strumienie.

Jednak kiedy zeszła na dół i zobaczyła ojca przechadzającego się nerwowo z zegarkiem w dłoni, jej nienawiść do Durstana Hayle'a sięgnęła szczytu.

Modliła się gorąco o jakąś sposobność, żeby odplacić mu z nawiązką to, w jaki sposób zmusił ją do ślubu.

- To dlatego, że nazywam się Camborne - powiedziała. - Tyle właśnie dla niego znaczą: arystokratyczne nazwisko dla dodania splendoru jego domowi i pomnożenia zaszczytów, które nie przysługują mu z urodzenia.

Jadąc do kościoła powozem przysłanym z zamku, myślała, że o swoim przyszłym mężu nie wie nic poza tym, że jest bogaty.

Pewnie jest mądry, skoro zrobił majątek - pomyślała. Była przekonana, że w interesach jest równie bezwzględny i nieprzyjemny jak podczas kupowania jej i Priory.

- Założę się, że jest oszustem - szydziła. - Plebejusz, parweniusz, który nie ma pojęcia, jak odróżnić dobro od zła.

Miała jednak pewne trudności z przekonaniem siebie, że Durstan Hayle ulepiony jest z tak pospolitej gliny. Było w nim coś władczego, co zawsze łączyła z dobrym pochodzeniem. Na przykład przywiązywał dużą wagę do szczegółów - na ganku czekała na nią wiązanka ślubna idealnie dobrana do sukni. Ułożona z lilii i gardenii wyglądała pięknie; zapach kwiatów na chwilę udobruchał Lorinę.

Lecz kiedy wsparta na ramieniu ojca szła środkiem kościoła, jej nienawiść rozgorzała na nowo na widok czekającego na nią Durstana Hayle'a.

Kościół był wspaniale przystrojony nieprzebraną ilością białych kwiatów i wszystkie ławki były pełne. Dopiero po wyjściu z zakrystii Lorinda miała możliwość rozejrzeć się, czy pośród zgromadzonych nie ma znajomych twarzy.

Opóźnienie oczywiście było większe, niż pierwotnie przewidywano, ponieważ wszystkie dokumenty ślubne, w tym także akty własności Priory, musiały być w końcu podpisane.

Przy okazji Lorinda zauważyła, jak ojciec wkładał do kieszeni kopertę. Była więcej niż pewna, że w środku znajdował się czek na czterdzieści tysięcy funtów.

Durstan Hayle zabezpieczył się dobrze, abyśmy nie mogli go oszukać - pomyślała i jednocześnie poprzysięgła sobie, że znajdzie sposób, żeby go pokonać, choć teraz mogło mu się wydawać, że to on jest górą.

Do zamku przejechali otwartym powozem przybranym kwiatami i zaprzężonym w cztery siwe konie.

Wszystko na pokaz! - pomyślała z pogardą. - Tak naprawdę to chciał przedstawienia!

Podczas jazdy nie patrzyła na mężczyznę, który siedział obok niej. Machała dzieciom z wioski, wiwatującym na ich cześć, przy bramie odpowiedziała na ukłon starszych odźwiernych. Zamek wyglądał imponująco. Światło słoneczne iskrzyło się we wszystkich oknach.

Kiedy Lorinda z mężem wysiedli z powozu, kamerdyner wygłosił kilka słów na powitanie; reszta służby także stanęła w szeregu, aby pozdrowić ich, zanim przejdą do sali bankietowej.

Ku jej zaskoczeniu do śniadania zasiadło z nimi pięćdziesięciu zaproszonych gości - rozpoznała pośród nich głowy większości starych rodów hrabstwa.

Różni ludzie witali się serdecznie z jej ojcem i pomyślała, że postąpił niemądrze, nie kontaktując się ze starymi przyjaciółmi zaraz po przyjeździe. Było już na to za późno, ale Lorinda wyobraziła sobie, że gdyby mógł jeszcze raz wybierać, być może wolałby zostać w rodzinnym hrabstwie niż zaczynać wszystko od nowa w obcym kraju.

W rozmowie z nią wielu gości wspominało jej matkę. Czowała jednak, że odnosili się do niej z rezerwą - zapewne słyszeli o jej londyńskich skandalach.

Jadło i wina były wyborne. Wszyscy goście zdawali się doskonale bawić. Lorinda jednak nie mogła przełknąć ani kęsa. Cały czas wyczuwała obrączkę na serdecznym palcu lewej dłoni. A na wspomnienie tego, jak władczo i energicznie

Durstan Hayle włożył ją na jej palec, odczuwała wyraźny niepokój. Słowa przysięgi małżeńskiej wypowiedział tonem tak stanowczym, że Lorinda odebrała to jako następne wyzwanie rzucone nawet przed ołtarzem.

Ona natomiast bardzo uważała, żeby jej głos nie zabrzmiał nieśmiało lub żeby się przypadkiem nie zająknęła, a kiedy wchodzili na salę balową, starała się sprawiać wrażenie spokojnej. Nikt z obecnych, a już na pewno nie pan młody, nie może pomyśleć, że jest zalękniona lub, co gorsza, że uroczyście ją upokorzyła.

Ponieważ nie miała zamiaru rozmawiać z własnym mężem, całą swoją uwagę poświęciła namiestnikowi królewskiemu, który siedział po jej drugiej stronie. Był to starszy mężczyzna. Opowiadał jej o trudnościach w rybołówstwie, o wydatkach, jakie musieli ponosić farmerzy, dostarczając własne towary na rynek, a także o kilku innych problemach nękających lokalną społeczność. Mgliście pamiętała, że takim właśnie rozmowom przysłuchiwała się dziesięć lat temu podczas ostatniej bytności w Kornwalii.

Uczta przeciągała się. W końcu namiestnik królewski wznosił toast za zdrowie młodej pary i Durstan Hayle wstał, żeby odpowiedzieć.

Ku zaskoczeniu Lorindy mówił krótko, zwięźle i dowcipnie. Jednocześnie był niezwykle pewny siebie.

Jest tak w sobie zadufany - pomyślała z pogardą - aż zdumiewające, że mój tytuł jest mu jeszcze do czegoś potrzebny.

Nareszcie goście się pożegnali i Lorinda miała zamiar udać się na spoczynek.

- Proszę, abys się nie przebierała - usłyszała, kiedy stała na pierwszym stopniu schodów z ręką opartą na poręczy.

Spojrzała na niego z wysoko uniesionymi brwiami.

- Dzierżawcy, z którymi mamy się wkrótce spotkać, z pewnością będą chcieli zobaczyć pannę młodą i nie chciałbym, abyś ich rozczarowała - powiedział Durstan Hayle.

- Domyślam się, że nie mam żadnego innego wyboru? - spytała.

- Żadnego - odpowiedział i odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Wchodząc na górę, cała trzęsła się ze złości. U szczytu schodów przywitała ją gospodyni o bardzo miłej powierzchowności i zaprowadziła do pokoju, który w przeszłości nazywany był „komnatą królowej”. Nie była to właściwa nazwa, ponieważ to w pokoju zajmowanym przez właścicieli zamku nocował Karol I, kiedy walczył przeciwko Parlamentarzystom. Lecz miejscowej służbie wydawało się, że skoro pan zajmował „komnatę króla”, pani powinna spać w „komnacie królowej”.

I tak oto Lorinda znalazła się w pokoju, który od wieków zajmowały hrabiny Penryn. Ostatnim razem, kiedy go widziała, ze ścian obłaziła tapeta, sufit był w połowie zawalony i nie było śladu mebli. Teraz stanęła w wejściu i dech jej zaparło na widok zmian.

Na suficie wymalowano wizerunki bożków i boginek na tle błękitnego nieba. Niebieskie zasłony przesłaniały wysokie okna, a niebieski dywan pokrywał podłogę. Łoże wsparte o rzeźbione i złocone słupy od baldachimu, udrapowanego z jedwabiu i aksamitu, zwieńczone było pękami strusich piór. Jako dziecko zawsze sobie wyobrażała, że powinno się tu znajdować właśnie takie łoże.

Meble były rzeźbione i złocone, na stolikach stały ogromne wazy białych lilii, takich jak w jej bukietach, z dodatkiem goździków i gardenii, prawdopodobnie dla ich zapachu.

- Mam nadzieję, że pokój podoba się jaśnie pani - powiedziała z szacunkiem gospodyni.

- Jest piękny! - odparła Lorinda. - Kiedy przypomnę sobie, jak dawniej wyglądał, aż trudno uwierzyć, że można go było tak zmienić.

- Zamek jest teraz bardzo wytworny, jaśnie pani, a każdy, kto się tu zatrzymuje, podkreśla, że nasz pan ma bardzo dobry gust.

Służąca westchnęła cicho.

- Ale cieszę się, że remont już się skończył. Mieliśmy tu całe arenie robotników. Nigdy przedtem niczego tak szybko nie zrobiono. Ale kiedy pan czegoś chce, zawsze to dostaje!

To szczerza prawda - gorzko pomyślała Lorinda.

Zdjęła wianek i welon, żeby obmyć twarz i ręce. Potem przyszła pokojówka, aby poprawić jej włosy i ponownie umocować wianek.

Nie było sensu odmawiać noszenia sukni, w której właśnie wzięła ślub - stoczyła już dzisiaj o to jedną bitwę i przegrała. Nie była skłonna rzucać swojemu mężowi kolejnego wyzwania z tego samego powodu.

Właśnie skończyła przygotowania, kiedy rozległo się pukanie. Pokojówka otworzyła i w drzwiach ukazał się ojciec.

- Przyszedłem, żeby się z tobą pożegnać, Lorindo. Służąca zostawiła ich samych i Lorinda podeszła do hrabiego.

- Twój mąż godnie mnie potraktował i na pierwszą część podróży ofiarował mi szybkie konie i forysiów,

- Zamierzasz pojechać do Bristolu?

- Tak. Tam wynajmę łódź, która zabierze mnie do Irlandii.

- Wiem, że cieszysz się, papo, i mam nadzieję, że się nie zawiedziesz.

- Mam przeczucie, że będę się dobrze bawił - odparł hrabia.



Przerwał, po czym rzekł, z trudem wymawiając słowa:

- Będę... za tobą tęsknił, Lorindo.

- Mam nadzieję, papo.

Czule położył ręce na jej ramionach.

- Hayle się tobą zaopiekuje. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że może się okazać całkiem znośnym mężem, nawet jeśli chwilowo zachowuje się, jakby był Panem na Niebiesiech.

Lorinda nie mogła powstrzymać śmiechu. - Ależ on tak właśnie o sobie myśli, papo. Ojciec uśmiechnął się do niej.

- Wszyscy mężczyźni; jakich spotkałaś, prędzej czy później kończyli jako twoi niewolnicy i jakoś nie wydaje mi się, żeby Hayle miał być wyjątkiem.

- Też mam taką nadzieję - odparła Lorinda. Na razie jednak perspektywy ujarznienia Durstana Hayle'a nie wyglądały zbyt optymistycznie. Wydawało się, że jest zupełnie nieczuły na jej wdzięki i było w nim coś nieugiętego, czego nie spotkała dotychczas u żadnego innego mężczyzny.

Po chwili powiedziała sobie, że niepotrzebnie się zamartwia. Każdy z tych dandysów i pyszałków, którzy uganiaли się za nią w Londynie, już po krótkiej znajomości stawał się całkowicie uległy. Przyczyną mogła być jej obojętność lub to, że zawsze była poza ich zasięgiem; ale bez względu na powód, wcześniej czy później stawali się pokorni, wdzięczni za najmniejszą okazaną łaskawość i gotowi na każde jej skinienie.

Lorinda spojrzała na ojca i uśmiechnęła się.

- Nie martw się o mnie, papo. Dam sobie radę.

- Mam nadzieję - szczerze powiedział hrabia i dodał: - Jeżeli jednak nie będzie innego wyjścia, zawsze możesz uciec. Napiszę do ciebie, jak jest w Irlandii. Możliwe, że w końcu znowu będziemy razem.

Lorinda pomyślała, że raz jeszcze oszukuje, ale nie powiedziała tego na głos.

- Będę o tym pamiętać, papo - przyrzekła i pocałowała go w policzek.

Tulił ją do siebie przez chwilę, potem wypuścił z objęć i rozejrzał się po sypialni.

- Przynajmniej nie musisz się martwić o jutro!

- Ani ty! - odcięła się. - Ale bądź ostrożny, papo. Następnym razem, kiedy postawisz na czerwone, może nie być w pobliżu zamożnego nababa z Indii, gotowego wejść w ciemno!

Hazardowy slang bardzo rozbawił hrabiego. Potem odszedł i choć Lorinda mówiła sobie, że to absurdalne, nagle poczuła się bardzo samotna. To ogrom tego domu wprowadził ją w ten nastrój - próbowała siebie przekonywać.

Ale wiedziała, że, jest tylko jedna przyczyna jej lęku - teraz oto, praktycznie biorąc, została sam na sam ze swoim mężem.

Zabawa dla dzierżawców, która odbywała się w wielkiej stodole, sięgała hałaśliwego szczytu, kiedy przybyła Lorinda z mężem. Olbrzymie beczki piwa i mocnego kornwalijskiego jabłeczniaka już od paru godzin krążyły wśród biesiadników.

Obecni powstali (niektórzy z niejakim trudem) i powitali ich radosnymi okrzykami. Następnie zarządca majątku poprowadził ich do dwóch ustawionych w końcu pomieszczenia krzeseł, z wyglądu bardziej przypominających tron.

Paru co znamienitszych farmerów wygłosiło przemowy; mówił także Durstan Hayle. Tym razem był chyba jeszcze zabawniejszy. Doprowadził swoich słuchaczy do wybuchów wesołości. Z dużym zadowoleniem, które nawet przeszło w burzliwą owację, przyjęto złożoną z okazji ślubu obietnicę zwolnienia na sześć miesięcy z opłat dzierżawnych.

Kiedy obchodzili salę, ściskając dłonie gości, Lorinda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Durstan Hayle wyrobił sobie tutaj pozycję nie tylko właściciela majątku, ale także ważnej osobistości. Jej zaś pojawienie się nie ma większego znaczenia. Kobiety jednak życzyły jej szczęścia. Kilka z nich wręczyło jej nieśmiało gałązki białego wrzосу i małe muszelki, które Lorinda z niepokojem uznała za talizmany płodności.

Następnie wszyscy wyszli na zewnątrz, aby obejrzeć pokaz sztucznych ogni. Rakiety były w ciemniejące niebo, wybuchały kaskadami złotego i srebrnego deszczu na tle niewyraźnie majaczących krzewów.

Lorinda zaczęła odczuwać zmęczenie i kiedy w końcu Durstan Hayle zdecydował, że mogą opuścić gości, z ulgą udała się do dużego salonu, którego jeszcze nie widziała. Było tu pięknie, ale czuła się zbyt wyczerpana, żeby podziwiać meble czy obrazy. Zerknęła na zegar i stwierdziła, że jest już wpół do jedenastej. Jak na londyńskie zwyczaje nie było zbyt późno, jednakże Lorinda odgrywała swoją trudną rolę bez przerwy od południa.

- Czy pozwolisz zaproponować sobie coś do picia? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

- Niech mi wolno będzie powiedzieć, że celująco zdałaś dzisiejszy, z pewnością trudny dla ciebie, egzamin.

Lorindę zdziwił ten komplement. Przez cały dzień nie opuszczało jej przykre uczucie, że mąż nie aprobejuje niczego, co ona mówi lub robi.

- Jutro chciałbym pokazać ci prezenty, których niemało otrzymaliśmy - ciągnął dalej. - Nie było sensu wystawiać ich na pokaz. Mój sekretarz ułożył je w jednym z salonów, żebyś mogła je obejrzeć.

- Przypuszczam, że żaden z nich nie jest przeznaczony dla mnie?

Nie odpowiedział, po chwili więc zapytała:

- Czy umieściłeś wiadomość o naszym ślubie w Gazette?

- Nie. Uniosła brwi.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że może wydać się dziwne, że wychodzisz za mąż tak szybko po opuszczeniu Londynu. Mogłoby to sprawiać wrażenie, że jest jedna tylko przyczyna takiego pośpiechu.

- Chciałeś powiedzieć - twój majątek?

- Właśnie!

- A tobie trudno byłoby wyjaśnić, że prawdziwą przyczyną, dla której mnie poślubiłeś, były włości graniczące z twoimi oraz mój szlachecki tytuł.

Lorinda chciała być nieprzyjemna, lecz mąż zignorował drwinę.

- Spodziewam się, że chciałabyś już udać się na spoczynek - zauważył.

Zirytowało ją, że pierwszy to zaproponował. Podniosła się z miejsca.

- Rzeczywiście, jestem znużona - odparła. - Witanie się z tak dużą liczbą osób jest wyczerpujące.

Przeszli razem do podnóża schodów, gdzie jeden z lokai stał na służbie.

Chciała życzyć mu dobrej nocy w taki sposób, aby było jasne, że nie spodziewa się widzieć go przed świtem, ale przestraszyła się, że właśnie to może go sprowokować do podjęcia akcji, której tak się obawiała.

Nie oglądając się za siebie, powoli weszła po schodach. Zastanawiała się, czy ją obserwuje, ale nie odwróciła głowy, żeby sprawdzić. Wchodząc do sypialni, gdzie oczekiwały

pokojówki, poczuła, że serce jej bije jak oszalałe. Dopiero kiedy w końcu została sama, przyznała przed sobą, że się boi.

Sama myśl, że Durstan Hayle mógłby jej choćby dotknąć, nie mówiąc już o egzekwowaniu powinności małżeńskiej, była bardziej przerażająca, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażała. Nienawidziła go i wydawało się jej, że być przez niego dotkniętą byłoby większym piekłem niż to, którym straszili księża.

- Nienawidzę go! - mówiła do siebie.

Po wyjściu pokojówek podbiegła do drzwi, żeby przekręcić klucz w zamku, i stanęła, patrząc z niedowierzaniem.

W drzwiach nie było klucza!

Nigdy, nawet przez moment, nie przyszło jej do głowy, że jakiś dom, w którym było wszystko, nie wyłączając kutech i pozłacanych zamków u drzwi, może nie mieć kluczy.

Wyjrzała na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy przypadkiem klucz nie tkwi z drugiej strony. Sądziła, że może pokoje są zamykane, kiedy nie ma w nich nikogo.

I tu klucza nie było!

Sprawdziła przylegający pokój, przez który przechodziło się do salonu - również bez rezultatu.

Zastanawiała się przez chwilę. Czowała paralizujący ją strach. Z trudem zwalczyła to uczucie, wiedząc, że musi walczyć z Durstanem Hayle'em do ostatniego tchu. Mimo że nosi jego nazwisko, nigdy, będąc przytomna, nie będzie należała do niego w żaden inny sposób.

Pośpieszyła przez pokój do inkrustowanej komody i zaczęła otwierać szuflady.

To, czego szukała, znajdowało się w bagażach zapakowanych przed wyjazdem z domu - pistolet, który zawsze miała ze sobą dla obrony przed rabusiami i opryszkami. Odnalazła go w szufladzie razem z rękawiczkami

i chusteczkami. W tym samym pudełku znajdowały się naboje. Lorinda natychmiast załadowała broń. Dopiero chłód stali w dłoni dał jej poczucie bezpieczeństwa.

Jeśli będę zmuszona go użyć, nie mogę zabić Durstana - zdecydowała. - Zranię go tylko w ramię. To powinno na jakiś czas powstrzymać jego zakusy.

Lorinda była wybornym strzelcem. Ponieważ wiedziała, jak wielkie ojciec miał pretensje o to, że nie jest chłopcem, robiła wszystko, żeby osiągnąć sprawność w tych sportach, które tradycyjnie były przywilejem męskich potomków rodu.

Kiedy była wystarczająco duża, żeby dosiąść konia, jeździła na nim okrakiem. Potrafiła strzelać do lotek równie dobrze jak mężczyźni i tak długo ćwiczyła się w strzelaniu, że prawie nie chybiała środka celu.

W wieku dziesięciu lat, zanim opuściła Kornwalię, ściagała się na koniach nie z rówieśnikami, ale z chłopakami stajennymi. Skakali przez przeszkody używane do biegów przez dorosłych. Jeździła na tych samych co oni koniach i mimo młodego wieku pomagała je ujeżdżać. Miała tak dobrą rękę i dosiad, że stary stajenny zwykł mówić:

- Jaśnie panienska się z tym urodziła. Ja bym tego jaśnie panienki nie nauczył.

Z pistoletem w dłoni, zwrócona w kierunku drzwi, Lorinda usiadła w fotelu.

Wcześniej pokojówki pomogły jej się przebrać w przezroczystą i wykończoną koronką koszulę nocną, którą przywiozła ze sobą z Londynu. Na wierzch nie włożyła jednak szlafrocza w podobnym stylu, lecz pikowaną, ciepłą podomkę z satyny.

Teraz mocniej przewiązała się w talii i modliła się, żeby mąż nie stracił na jej widok głowy, co zdarzało się już niejednemu przed nim.

Każdy mężczyzna, z którym spędziła trochę czasu, prędzej czy później tracił nad sobą panowanie i próbował wziąć ją w ramiona i pocałować. Od czasu do czasu musiała toczyć walkę z takimi konkurentami. Jednak żadnemu z nich nie udało się przytrzymać jej dłużej niż kilka sekund i nikt nigdy jeszcze jej nie pocałował.

Na samą myśl o tym robiło jej się słabo i wstępowała w nią taka wściekłość, że gdyby któryś posunął się o krok dalej, gotowa byłaby zabić!

Poradzę sobie z Durstanem Hayle'em, tak jak poradziłam ze wszystkimi innymi - dodawała sobie otuchy.

Wtedy z zakamarków pamięci wyłonił się mężczyzna, który pochwyił ją w żelazny uścisk, kiedy chciała przyłączyć się do przemytników. Była tak zajęta przez ostatnie kilka tygodni, że prawie zapomniała o tym poniżającym przeżyciu, o tym, jak nieznajomy zatkał jej usta ręką i podniósł z ziemi mocarnym ramieniem.

Zaatakował mnie od tyłu, a Durstan i ja spotkamy się twarzą w twarz - próbowała się pocieszać.

Siedziała spoglądając na drzwi. Naładowany pistolet spoczywał w zasięgu jej prawej dłoni.

Kiedy przyjdzie, pokaże mu - przynajmniej tym razem - że to ona będzie tu rządzić.

Obudził ją nagły dreszcz. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Potem zobaczyła, że świece prawie się wypaliły, a ona siedzi na krześle cała zeszywniała, drżąc z zimna.

Durstan Hayle nie przyszedł!

Pistolet wciąż leżał obok niej. Podniosła się, ciągle drżąc, i popatrzyła na porcelanowy dreздеński zegar stojący na kominku. Wskazówki pokazywały godzinę trzecią. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Musiała spać co najmniej trzy godziny!

Jedno było pewne - mąż już teraz nie przyjdzie, może więc spokojnie położyć się do łóżka.

Zdejmując satynowe okrycie, spoglądała lękliwie na drzwi, w obawie że wybierze ten właśnie moment na wizytę. Wsunęła się między prześcieradła, na wszelki wypadek schowała naładowany pistolet pod poduszkę.

Łóżko było ciepłe i wygodne, lecz nie od razu zasnęła. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Durstan zostawił ją w spokoju. Wydawało się jej mało prawdopodobne, że nie będzie dochodził swoich praw małżeńskich.

Nagle przerażająca myśl przyszła jej do głowy. Czy to możliwe, że mu się nie podoba?

Trudno było w to uwierzyć. Jednak jeśli chciała być ze sobą szczerą, musiała przyznać, że odkąd zna Durstana Hayle'a, nigdy nie obdarzył jej spojrzeniem, w którym mogłaby odnaleźć choć odrobinę zachwyty.

Nawet dziś, będąc w sukni ślubnej i welonie, które dla niej wybrał, kiedy na niego spoglądała te kilka razy, wydało się jej, że widzi kpinę w jego oczach i pogardliwie wykrzywione wargi.

Czy to możliwe, czy to w ogóle prawdopodobne, że ze wszystkich mężczyzn na świecie, których mogła poślubić, znalazła tego jednego, w najmniejszym stopniu nie interesującego się nią jako kobietą?

Przypuszczenie było tak nieprawdopodobne, iż przez chwilę sądziła, że się myli. Potem, pomimo ulgi, jaką dawała świadomość, że nie będzie musiała prowadzić krucjaty w obronie własnej cnoty, jego obojętność głęboko poruszyła jej kobiecą dumę.

Miała za sobą tak wiele miłosnych podboi, że zdążyła się już przyzwyczaić do pochlebstw i komplementów, którymi obdarzali ją prawie wszyscy znajomi, no może wyłączając



ludzi starszego pokolenia. Teraz nagle była oszołomiona i wstrząśnięta zupełnie dla niej nową sytuacją.

Tracąc ducha, nie mogąc opanować ogarniającego ją z wątpienia, zadała sobie pytanie:

- Jeśli nie pociąga męża, jakie ma w takim razie szanse, aby go ujarzmić i w konsekwencji robić wszystko po własnej myśli?

Świtało już, kiedy zasnęła, a po przebudzeniu okazało się, że problem, który nie dawał jej spokoju poprzedniego wieczoru, nadal zaprzęta jej myśli.

Pokojówki przyszły o ósmej, tak jak sobie tego życzyła, a ponieważ nie chciała spotkać męża wcześniej, niż to będzie konieczne, poprosiła o śniadanie do łóżka.

Przyniesiono je bardzo elegancko podane. Na tacy przykrytej koronką stały herbowe srebra, talerzyki i filiżanka z najlepszej sewskiej porcelany.

Lorinda przypomniała sobie śniadania w Priory serwowane przez panią Dogman - głośnie stawianie naczyń, obtłuczona porcelanę, zmatowiałe srebra.

- Proszę spytać, jakie są plany na przedpołudnie - poleciła jednej z pokojówek.

- Pan prosił, żebym przekazała, kiedy się pani obudzi, iż wybiera się na konną przejażdżkę o wpół do jedenastej i ma życzenie, żeby jaśnie pani mu towarzyszyła.

- Dziękuję - odpowiedziała Lorinda. - Proszę przygotować mój strój do konnej jazdy.

Ale w duchu pomyślała z nienawiścią, że jest to następne polecenie. Nie zapytał, czy zechciałaby mu towarzyszyć, po prostu sobie tego zażyczył.

Będziemy musieli w końcu jakoś to sobie wyjaśnić - pomyślała.

Instynktownie czuła jednak, że nie będzie to łatwe.

W chwili gdy miała zanurzyć się w przygotowanej kąpieli, przysłała jej do głowy myśl, że jeśli chce postawić na swoim, jeśli chce zniewolić męża jak wszystkich innych mężczyzn, to musi go najpierw zauroczyć. Zapało jej dech w piersiach. Podświadomie miała ochotę walczyć z nim dalej, przeciwstawić mu się, buntować się na każdym kroku, robiąc z jego życia takie piekło, żeby w końcu był zmuszony ulec. Miała jednak nieprzyjemne wrażenie, że takie postępowanie nigdzie jej nie zaprowadzi, a jeśli już przyjdzie do starcia się ich woli, to wyjdzie z tego pojedynku zwycięsko.

Będzie musiała więc działać bardziej subtelnie. Musi być czarująca. Nie będzie miał wówczas innego wyjścia, jak tylko ulec jej wdziękowi, podobnie jak wszyscy inni.

Pomyślała, że nie będzie jej łatwo ukryć niechęci, ale jakoś sobie poradzi. Jak ze wszystkim, czego do tej pory w życiu pragnęła. Będzie dążyć do upatrzonemu celu i osiągnie go wytrwałością.

- Sprawię, że mnie pokocha - powiedziała sobie. - A potem będzie cierpiał, tak jak na to zasłużył.

Odpędziła od siebie myśl, że uchronił ojca przed nędzną vegetacją, że zapłacił znacznie więcej niż należało za Priory i wątpliwą przyjemność poślubienia jej. Nienawidziła go tak mocno, że gotowa była użyć wszelkich sposobów, uczciwych czy nie, byle go pokonać,

- Będzie mnie kochał, a wtedy wyśmieję go jak wielu innych - stwierdziła ponuro.

Śmiech bowiem był dużo skuteczniejszym orężem niż zimna stal, szczególnie gdy w grę wchodziły uczucia mężczyzny. Przypomniła sobie, jak często śmiała się z Edwarda, jak odprawiała go pogardliwie. On jednak zawsze wracał jak wierny pies, błagając o więcej. W ten sam sposób ukarze Durstana Hayle'a za to, że zmusił ją do małżeństwa. W ten oto sposób dokona swojej zemsty.

W ten sposób ona będzie zwyciężcą, bez względu na przeszkody.

I jeszcze o jednym się upewni: nie będzie musiała każdej nocy czekać zalekniona, z pistoletem w rękę, na męża, który nie jest nią zainteresowany.

Obojętnym tonem powiedziała do pokojówki:

Zauważyłam, że w drzwiach nie ma klucza. Czasami zamykam drzwi na klucz, kiedy nie chcę, aby mi zakłócano popołudniową drzemkę. Proszę zapytać gospodynię, co się z nim stało.

- Oczywiście, jaśnie pani - powiedziała pokojówka. - Jak to się mogło stać, że zniknął?

Wygląda to rzeczywiście tajemniczo - pomyślała Lorinda. - Durstan Hayle nie miał żadnego powodu, żeby go zabierać, jeśli nie zamierzał skorzystać z okazji, jaką dawały mu otwarte drzwi do jej pokoju.

Ubrana w lekki, zielony kostium do konnej jazdy wykończony białą tasiemką wyglądała bardzo pociągająco. Na głowę włożyła trójgraniasty kapelusz, do którego z jednej strony przymocowane było zielone pióro opadające za ucho. Kiedy po raz pierwszy miała go na sobie w Hyde Parku, wywołała sensację.

Zadała sobie także wiele trudu, by ułożyć włosy. Buty do konnej jazdy były polerowane tak długo, aż błyszczały jak lustra. Kiedy schodziła ze schodów, wysuwały się spod długiej spódnicy.

Srebrne ostrogi dźwięczały, szeleściły sztywne halki, przywodząc jej na myśl, że jest idealnym połączeniem delikatnej kobiety i wojowniczego mężczyzny!

Zmusiła się, by w spojrzeniu mieć czułość. Kiedy w holu zobaczyła Durstana Hayle'a, obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- Przyjmuję twoje zaproszenie na przejażdżkę z największą przyjemnością - powiedziała. - Czy zdecydowałeś się, gdzie pojedziemy?

- Pomyślałem, że może zechciałabyś zobaczyć, jakie ulepszenia zastosowałem w folwarkach - zaproponował. - Chciałbym je teraz przeprowadzić w Priory.

- To znakomity pomysł - odparła Lorinda miękkim głosem.

Jeśli zaskoczyła go zmiana w sposobie, w jaki mówiła, nie okazał tego. Ramię w ramię podeszli do frontowych drzwi. Kiedy Lorinda spojrzała na oczekujące ich konie, jej udawane podniecenie i entuzjazm zamieniły się w prawdziwe. Nigdy przedtem nie widziała wspanialszych zwierząt.

Klacz, której miała dosiadać, była kruczoczarna. Miała tylko białą gwiazdę na chrapach i jedną białą pęcinę. Ogier Durstana Hayle'a był także kary, ale bez żadnych znaków na gładkiej, lśniącej sierści.

Lorinda podeszła do klaczy. Głaskała ją po chrapach i przemawiała pieszczotliwie, jakby mówiła do dziecka.

- Jak ma na imię? - zapytała.

- Ayshea - odparł Durstan Hayle. - Wszystkie moje konie mają hinduskie imiona. Ogier, którego dosiadam, nazywa się Akbar.

Stajenny pomógł Lorindzie wsiąść na konia. Poczowała, jak Ayshea reaguje na wodze, i doznała takiego samego uczucia przyjemności i siły, jakiego doznaje muzyk, kiedy wydobywa dźwięki z doskonałego instrumentu.

Po raz pierwszy od wielu tygodni jej myśli nie zaprzętało nic poza przyjemnością jazdy na zwierzęciu, które nie miało sobie równych wśród znanych jej koni.

Na chwilę zniknęła jej nienawiść; czuła się szczęśliwa jak letni, słoneczny poranek.

## Rozdział 5

Odпочywając przed kolacją, Lorinda myślała, że jej dzisiejsze wysiłki oczarowania męża nie dały żadnego rezultatu. Był uprzejmy, grzeczny i - jak zauważyła - bardzo dobrze wychowany. Ale kiedy opowiadał jej te wszystkie interesujące rzeczy, ani razu nie dostrzegła w jego spojrzeniu choćby cienia zachwyty, tak niezbędnego dla jej miłości własnej. Mogłaby równie dobrze być jego ciotką, zważywszy na wrażenie, jakie na nim robiła.

Zawsze w przeszłości mężczyźni najpierw przyglądali się jej w osłupieniu, porwani jej urodą, potem w ich wzroku dostrzegła nieomylnie pragnienie posiadania jej, dotykania, zawładnięcia nią w jakiś sposób. Kiedy raz ulegli, nie było już dla nich ratunku.

Ale ani przez moment, kiedy była z Durstanem Hayle'em, nie czuła, że traktuje ją jak atrakcyjną kobietę, co więcej jak kobietę w ogóle.

Wypróbowała kilka forteli, dzięki którym inne kobiety odnosiły wspaniałe sukcesy. Sama nigdy ich nie potrzebowała.

Na przykład, zadając mu pytania, starała się przeistoczyć w uosobienie prostodusznej naiwności. Zwykle wyzwalało to w mężczyznach poczucie wyższości. On odpowiadał coś zwięźle i interesująco, po czym nie podejmował już tego tematu i od niej zależało, czy znajdzie jakiś inny do konwersacji.

Z pewnym entuzjazmem opowiadał o innowacjach, jakie wprowadził w majątku, i Lorinda zobaczyła, że istotnie używał wszystkich nowatorskich metod uprawy ziemi. Musiała też uczciwie przyznać, że o większości z nich w ogóle nie słyszała.

Przeznaczył także kilka akrów pod uprawę kwiatów, a w szczególności wiosennych żonkili i tulipanów. Przewidywał, że można by je z łatwością sprzedać na większych

targowiskach w miastach, gdyby tylko udało się je tam szybko dostarczać.

Pracował nad wynalazkiem specjalnego, lekko resorowanego pojazdu, który zaprzężony w cztery konie mógłby dotrzeć do Plymouth, Bath czy Bristolu dużo szybciej niż jakiegokolwiek inne wozy używane do tej pory.

Wszystko to zainteresowało Lorinę bardziej, niż się spodziewała i po jakimś czasie zaczęła zadawać zdecydowanie inteligentniejsze pytania, zapominając zupełnie o pozowaniu na bezradną, słabą niewiastę.

Zjedli obiad w farmie na samej granicy posiadłości.

Dopiero w powrotnej drodze Lorinda zorientowała się, że ani na jotę nie posunęła naprzód swoich planów zwrócenia na siebie uwagi męża.

- Jestem zdziwiona, że nie ożeniłeś się wcześniej powiedziała prowokująco, kiedy zwolnili, przejeżdżając przez jakieś wertepy, gdzie nie było bezpiecznie galopować.

- Mieszkałem na Wschodzie - odparł. - Nie jest to klimat odpowiedni dla angielskiej kobiety.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że nie miałeś tam damskiego towarzystwa.

Uśmiechnął się.

- To zupełnie co innego.

- Czy hinduskie kobiety, traktujące mężczyzn jako istoty wyższego rzędu, są bardzo pociągające?

- Bardzo! - odpowiedział lakonicznie. Lorinda cała stężała.

To właśnie chciałby mieć - pomyślała z furją - kobietę, która by się przed nim płaszczyła i była na każde jego zawołanie.

- Jednak chyba cieszysz się, że jesteś z powrotem w Anglii, chociaż musiałeś porzucić swą ponętą ciemnooką hurysę?

Nie odpowiedział i odniosła wrażenie, że uznaj jej uwagę za pozbawioną smaku. Mimo że tego nie powiedział, wyczuła jednak, że nie pochwalał, kiedy kobieta mówiła o rzeczach, o których nie powinna nawet wiedzieć.

Oczekuje ode mnie, żebym była tylko bezrozumną kukłą! Równie dobrze mógłby poślubić jedną z rzeźbionych figur w swoim zamku - pomyślała ze złością.

Raz jeszcze poczuła przyływ nienawiści. Dalej więc jechali w milczeniu. Kiedy dotarli do zamku, Durstan Hayle powiedział, zsiadając z konia:

- Mam trochę pracy i będę zajęty aż do kolacji. Sądzę, że zechcesz teraz odpocząć.

Jak to miło, że tak się o mnie troszczysz - odpowiedziała z sarkazmem.

Wkroczyła zamasyście do sypialni na górze, czując się raz jeszcze pokonaną przez tego sztywnego i nieugiętego mężczyznę, który jawił się jej jak granitowa ściana. Podążył za nią jeden z dalmatyńczyków, które były własnością Durstana. Cezar i Brutus były tak samo rasowe i doskonałe jak jego konie. Ponieważ odczuła gwałtowną potrzebę jakiegoś ukojenia, zdjęła kapelusz, rzuciła go na krzesło i usiadła na podłodze, tuląc Cezara w ramionach. Był zachwycony, że ktoś poświęca mu tyle uwagi. Ona zaś długo go głaskała, odbierając jego uczucie jako wynagrodzenie za chłód, jakim darzył ją jego właściciel. Potem, kiedy się rozebrała, położył się przy niej, a jego czujne spojrzenie dodawało jej otuchy.

Po kąpieli pokojówka zapytała, którą suknię włoży na ten wieczór. Kobieta otworzyła szafę i Lorinda po raz pierwszy z zainteresowaniem przeglądała bogatą ekspozycję ubrań, które Durstan Hayle zamówił dla niej w Londynie.

Gdyby zrobił to ktoś inny, Lorinda doceniłaby jego dobry smak i dbałość o detal. Zakupy zrobił w sklepie, gdzie czasami, jeśli ją było na to stać, zamawiała jakąś drogą suknię.

Durstan Hayle dokonał w nim zakupu hurtem. Modystka, która pochodziła z Paryża, Madame Rachelle, знаła rozmiar butów Lorindy, tak więc do każdej kreacji dobrano pantofelki.

Pośród rzeczy znalazła też mnóstwo koronkowej i jedwabnej bielizny, o jakiej zawsze marzyła.

Jednak z czystej przekory włożyła jedną z sukienek, które przywiozła z Priory. Ponieważ chciała zrobić na nim wrażenie, wybrała najbardziej wyzywającą ze wszystkich, której z tego właśnie względu nigdy nie miała na sobie.

Kupiła ją pod wpływem impulsu, kiedy wszystkie znajome damy tak bardzo pragnęły wyglądać pociągająco, że posuwały się do odsłaniania piersi lub przykrywały je jedynie przezrystą gazą w kolorze ciała.

Suknia, którą wybrała, była jasnożółta, zrobiona z tak delikatnego materiału, że od talii w górę Lorinda wyglądała, jakby była zupełnie rozebrana. Dekolt, zarówno z przodu, jak i z tyłu, był bardzo głęboko wycięty, a przezroczystość materiału i jego barwa sprawiały, że ledwie przesłaniał różowe wzniesienia jej piersi.

Kiedy była już gotowa, żeby zejść na dół, popatrzyła w lustro i odczuła zadowolenie na myśl, że tylko jej mąż będzie ją w tym stroju oglądał. Jednocześnie bardzo ją ciekawiło, jaka też będzie jego reakcja.

Zdawała sobie sprawę, że wszystkich mężczyzn, których znała, doprowadziłaby swym wyglądem do szaleństwa. Łatwo mogła przewidzieć, co czułby lord Wroxford, a już Edward Hinton na jej widok zupełnie straciłby głowę.

Ułożone przez pokojówkę płomiennorude włosy Lorindy były tak puszyste, że jej szczupła twarzyczka wydawała się jeszcze mniejsza i bardziej ujmująca, zielone oczy wyglądały na jeszcze większe, a sztucznie poprawione usta - na czerwieńsze niż zwykle.



Tak jak się tego spodziewała, Durstan Hayle czekał na nią w salonie. Postarała się, aby jej wejście było jak najbardziej dramatyczne. Dla pełnego efektu na chwilę zatrzymała się w drzwiach, po czym bardzo powoli ruszyła w jego stronę. Wiedziała, że zapalone kandelabry ponad ich głowami oświetlą każdy szczegół jej doskonałej figury, wpatrywała się więc w jego twarz i czekała na reakcję.

Począł, aż stanęła obok niego, zanim powiedział: Zamówiłem w Londynie kilka sukni dla ciebie, ale nic wyobrażam sobie, że coś tak potwornego mogło się między nimi znaleźć.

- Nie podoba ci się? - z udanym zdziwieniem zapytała Lorinda. - Wydawało mi się, że cię zadowolili. - Taki rodzaj sukni noszą sprzedajne dziewczki, a nie moja żona!

- Czy nie jesteś przypadkiem zbyt staroświecki?

- Proszę się natychmiast przebrać w coś bardziej stosownego.

- Jest już za późno, a poza tym nie mam ochoty się przebierać.

- Rozkazuję ci zrobić to natychmiast!

- Nie mam najmniejszego zamiaru wykonać tego rozkazu ani też nie przyjmuję do wiadomości, że masz prawo wydawać mi polecenia!

Rzucając wyzwanie, patrzyła mu prosto w oczy. Wiedziała, że kiedy tak stoją naprzeciw siebie, raz jeszcze każde z nich chce narzucić drugiemu swoją wolę.

- A więc dobrze - powiedział w końcu. - Jeżeli chcesz być naga. to po co ta cała pruderia?

Mówiąc to, wyciągnął rękę, schwycił delikatny materiał stanika i jednym szybkim ruchem rozerwał go aż do samej talii.

Lorinda wydała okrzyk zdumienia i odruchowo zakryła rękami nagie piersi. Zobaczyła jeszcze triumf w jego

spojrzeniu, po czym odwróciła się i uciekła. Dopiero kiedy dotarła do drzwi, zatrzymał ją jego twardy, nie znoszący sprzeciwu głos.

- Oczekuję cię na kolacji. Daję ci pięć minut na przebranie, a potem przyjdę po ciebie na górę!

Nie odpowiedziała ani się nie odwróciła. Pobiegnęła korytarzem, przyciskając do piersi strzępy sukienki i usiłując się nimi okryć.

Kiedy schroniła się w sypialni, pokojówka właśnie tam sprzątała.

- Jaśnie pani, co się stało? - zapytała z zażenowaniem.

- To tylko drobny wypadek - zmuszona była wyjaśnić.

Pokojówka pomogła się jej przebrać w jedną z pięknych londyńskich sukienek. Nawet nie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Pozwalała się ubierać, jakby była lalką. Całą uwagę skupiła na tykaniu stojącego na kominku zegara.

Kiedy Durstan Hayle mówił, że po nią przyjdzie, wiedziała, że dotrzyma słowa. Była już wystarczająco upokorzona i nie czuła się na siłach, żeby wziąć udział w scenie, która dostarczy służbie okazji do plotek.

Gdy była gotowa, pokojówka zapytała:

- Czy jaśnie pani życzy sobie, aby suknia została naprawiona?

- Wyrzuc ją! - ostro powiedziała Lorinda. - Nie chcę jej więcej oglądać!

Kiedy schodziła ze schodów, Durstan Hayle wyszedł z salonu. Właśnie podano do stołu. Nie zrobił żadnej uwagi na temat stroju, podał jej tylko ramię, a ona wzdrygnęła się pod wpływem jego dotknięcia. Czując odrazę na myśl o jego bliskości, w milczeniu przeszła z nim do sali jadalnej.

Nic jej się nie śniło, a obudziła się ze świadomością, że uczestniczy w koszmarze, który może trwać wiecznie.

- Jak można tak żyć? - pytała.

Po raz pierwszy perspektywa walki bez końca z człowiekiem, który zawsze wygrywał, napełniła ją lękiem i złymi przeczuciami. Potrafiła uczciwie przyznać, że to ona umyślnie go sprowokowała poprzedniego wieczoru, a jednak jego reakcja zaskoczyła ją.

Przypuszczała, że może się zdenerwować, ale przeraziła ją jego gwałtowność i musiała teraz przyznać, że trochę się go boi.

- To dlatego, że jest nieobliczalny - wyjaśniała sobie. - Każdy inny mężczyzna zareagowałby inaczej, ale z nim nigdy nie wiem, czego mogę się spodziewać.

Kiedy podano jej śniadanie, Lorinda lekko zapytała, jakie są dzisiejsze plany.

- Pan oczekuje, że jaśnie pani raz jeszcze będzie mu towarzyszyć w przejażdżce konnej - odparła pokojówka. - Kazał osiodłać klacz, której pani wczoraj dosiadała.

Lorinda przyjęła wiadomość z ulgą. Dosiadając tak wspaniałego konia, mogła się skupić na samej przyjemności jazdy i zapomnieć o nienawiści do jadącego obok mężczyzny. Jednocześnie podejrzewała, że Ayshea jest ulubienicą Durstana, co nie usposabiało jej przyjaźnie do konia.

Tym razem wybrała strój jeździecki w ciepłym żółtym kolorze, który był chyba nawet bardziej twarzowy od poprzedniego.

- Nie sądzę, żeby zauważył - mruknęła pod nosem.

- Czy jaśnie pani coś mówiła? - zapytała pokojówka.

- Tylko do siebie - odparła.

Kapelusz robiła na zamówienie jedna z najlepszych modystek Londynu. Przypomniła sobie okrzyki podziwu, jakie na jej widok wydawali mężczyźni, kiedy go po raz pierwszy włożyła. W ich oczach mogła wyczytać, że wygląda bardziej pociągająco niż zwykle. Tylko człowiek o sercu z kamienia mógł się jej oprzeć.

Potem zaczęła się zastanawiać, czy może Durstana Hayle'a pociągają tylko ciemnowłose kobiety, o sarnich oczach, zmysłowym wdzięku i giętkich ruchach, z którymi żadna Europejka, choćby najbardziej ponętna, nie mogłaby rywalizować.

Powinnam być wdzięczna, że nie ma ochoty mnie dotykać - pomyślała.

Ale nie była w stanie udawać, że nie irytowała jej jego obojętność.

Zeszła na dół i okazało się, że mąż nie czeka na nią w holu.

- Pan jest w bibliotece, jaśnie pani - poinformował ją kamerdyner.

Właśnie miała się tam udać, kiedy wyszedł z pokoju w towarzystwie swojego sekretarza i zarządcy. Skończył ich instruować i zwrócił się do niej:

- Proszę cię o wybaczenie, Lorindo. Niestety, nie będę mógł ci dzisiaj towarzyszyć. Muszę pilnie udać się w interesach do Falmouth,

Lorinda nie odpowiedziała. Spoglądała przez otwarte drzwi w kierunku, gdzie stały konie.

- Twoja przejażdżka nie będzie jednak odwołana - ciągnął dalej. - Pojedzie z tobą stajenny.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła. - Wolę pojechać sama.

- Stajenny pojedzie z tobą! - powiedział krótko. Spojrzała na niego gniewnie.

- Powiedziałam już, że nie ma takiej potrzeby. Zawsze jeżdżę sama.

Przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi do salonu.

- Pozwól, proszę, tutaj na moment - zwrócił się do niej.

Usłuchała, zastanawiając się, co też może mieć jej do powiedzenia. Zamknął za sobą drzwi.

- Chciałbym, aby to było jasne, Lorindo - powiedział głosem nie dopuszczającym sprzeciwu. - Taki jest zwyczaj i jest to właściwe, że damie podczas przejażdżki towarzyszy ktoś ze służby. Życzę sobie, żeby moja żona tak właśnie postępowała.

- Ależ to absurdalne! - sprzeciwiła się Lorinda. - Któż mnie tam zobaczy?

- To nie ma znaczenia.

- Nie chcę, żeby pilnował mnie twój służący, który bez wątpienia doniesie ci o każdym moim najdrobniejszym uchybieniu!

- Polecę stajennemu, żeby z tobą pojechał, i nie zamierzam już dłużej o tym dyskutować!

Durstan Hayle otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Lorinda słyszała, jak wydawał polecenia, żeby zabrać Akbara z powrotem do stajni i żeby stajenny natychmiast stawił się na innym koniu.

Stała i przysłuchiwała się temu ze złością, przygryzając wargi. Odrzucanie wszystkich jej życzeń w tak kategoryczny sposób doprowadzało ją do furii. Naprawdę bardzo nie chciała, żeby towarzyszył jej służący. Nawet kiedy była dzieckiem, zawsze jeździła sama, a w Londynie nigdy nie zadała sobie trudu, żeby na przejażdżki po Hyde Parku brać ze sobą służącego.

Szcześliwie, kiedy tylko się tam pojawiała, czekał na nią tłum adoratorów, którzy natychmiast otaczali ją zwartym kręgiem, i taką kawalkadą odbywali spacerów wzdłuż alei Rotten Row (Aleja do kornej jazdy w londyńskim Hyde Parku, uczęszczana przez wytworne towarzystwo). W mniej uczęszczanych rejonach parku Lorinda jechała galopem. Czasami też sama zbaczała z trasy jeszcze dalej w kierunku Hamstead Heath, a nawet na pola rozciągające się poza obszarem Chelsea. (Artystyczna dzielnica Londynu)

A teraz ma być niańczona i prowadzona za rączkę jak małe dziecko lub jedna z panien z towarzystwa, o których zawsze z lekceważeniem mówiła, że „koń na biegunach byłby odpowiednim dla nich rumakiem”.

Uraziło to jej dumę. Nie chciała jednak stracić jazdy, do czego niechybnie prowadził dalszy spór. Czekwała więc na stajennego, niecierpliwie stukając końcem buta.

Tymczasem do frontowych drzwi podjechał ten sam powóz, który tak bardzo podziwiała, kiedy Durstan Hayle złożył pierwszą wizytę jej ojcu. Jeśli mąż pamiętał, że ona ciągle stoi w salonie, nie dał tego po sobie poznać. Po prostu wsiadł do powozu, wziął wodze w dłonie i ruszył, Lorinda przeszła na drugą stronę holu, żeby lepiej go widzieć.

Bez wątpienia, powoził znakomicie i równie dobrze się prezentował. Było coś eleganckiego i jednocześnie buńczucznego w zarysie jego potężnych ramion i w sposobie noszenia cylindra.

- Może sobie tak wyglądać - powiedziała z pogardą. - A naprawdę jest tylko starym piernikiem, zacofanym i niemodnym, który chce być bardziej święty niż sam papież!

Patrząc, jak znika w kłębach kurzu, poczuła nowy przypływ nienawiści.

Ze stajni pośpiesznie wyjechał służący na rozbrykanym dereszku, z którym nie bardzo potrafił sobie poradzić. Podsadzona do góry Lorinda przełożyła prawą nogę przez podniesiony łęk, usadowiła się w damskim siodle, po czym ruszyła przodem niezadowolona, że w pewnej odległości za nią podąża stajenny.

Zaczęła się zastanawiać, jak by się tu sprzeniewierzyć poleceniom męża. Specjalnie pojechała na północ i wkrótce opuścili park, minęli wioskę i znaleźli się na otwartej przestrzeni pełnej bujnych traw przetkanych mrowiem dzikich kwiatów. Wtedy Lorinda przeszła w galop, wykorzystując

wszystkie umiejętności, które zjednały jej sławę wspaniałej amazonki.

Deresz, którego dosiadał stajenny, był wypoczęty i trzymał się blisko niej prawie przez milę. Potem, spoglądając przez ramię, Lorinda zobaczyła, że zaczyna pozostawiać go w tyle.

Wiedziała, że choć deresz jest świetnym koniem, nie ma wytrzymałości jej klaczy, także umiejętności stajennego nie dorównują jej własnym. Galopowała bez końca, lecz ciągle miała go w polu widzenia i czuła jego determinację, żeby jej nie zgubić.

Nagle stajenny stał się dla niej symbolem wszystkiego, czego nie lubiła w Durstanie Hayle'u: jego surowości, potrzeby zdobycia ogólnego szacunku i chyba najbardziej braku uznania dla jej urody.

Tak, wymknąć się stajennemu, który wykonywał jego rozkazy, to będzie mocny cios zadany znieprawionemu człowiekowi. Ten buntowniczy gest nauczy go, że nie jest jego niewolnicą, jak tego pragnął.

Po raz pierwszy użyła ostróg i szpicruty. Ayshea zerwała się do przodu pod wpływem nowego bodźca. Z zaciętymi ustami, z oczami rzucającymi dokoła gniewne błyski Lorinda nie przestawała przynaglać konia do biegu, kłując go ostrogami. Wpadła w szal, zupełnie straciła panowanie nad sobą. Był to wybuch buntu przeciw wszystkim poniżeniom, jakich nie szczędził jej mąż od chwili, kiedy się po raz pierwszy spotkali.

Długim, giętkim bacikiem zaczęła okładać konia i na przemian kłuć go ostrogami, zmuszając do pełnego galopu.

Było to bezrozumne zachowanie spowodowane jakimś wewnętrznym wybuchem, który wstrząsnął całym jej jestestwem. Miała świadomość, że jest okrutna, lecz

panowanie nad klaczą, ulubienicą męża, sprawiało jej jakąś przewrotną rozkosz.

Czuła się tak, jakby ścigał ją sam Durstan. Jakby pełen determinacji chciał ją pochwycić, żeby nie wymknęła się z pułapki, w którą ją schwytał.

Raz za razem kłuła bok klaczy spiczastą ostrogą i okładała ją batem, zmuszając do coraz szybszego biegu. Tylko pośpiech mógł ją ocalić przed mężczyzną, którego nienawidziła!

Galopowała tak już wiele mil, gdy w pewnej chwili noga klaczy ugrzęzła w króliczej norce. Ayshea potknęła się i upadła na kolana, a impet upadku wyrzucił Lorindę z siodła ponad łbem konia. Ziemia nie była twarda. Wprawdzie przy upadku doznała wstrząsu, lecz nie straciła przytomności. Nie mogła tylko złapać tchu.

Leżała przez chwilę, czując, jak uspokaja się szalony, gwałtowny płomień w jej żyłach. Wstrząs trochę ją oprzytomnił.

Usiadła, poprawiła kapelusz i zobaczyła, że klacz okulała, a na zadzie ma pręgi od uderzeń bata oraz ślady krwi na bokach.

Na ten widok Lorinda oniemiała. Nigdy, w całym swoim życiu, nie użyła szpicruty na ułożonego konia - co najwyżej na takiego, którego ujeżdżała. Nigdy też nie zachowała się tak okrutnie, żeby zrobić krzywdę lub zadać ból zwierzęciu, które było jej całkowicie posłuszne.

Chwiejnie stanęła na nogi.

- Och... Ayshea... przepraszam cię! - powiedziała. - Wybacz mi! Moja kochana... wybacz mi!

Wyciągnęła ręce, żeby uspokoić przestraszone zwierzę, klepała ją po szyi, przemawiała do niej czule, aż wreszcie klacz, jakby w geście przebaczenia, ufnie oparła o nią swój pysk.



- Jak ja mogłam zrobić coś takiego? - pytała siebie osłupieniu.

Okrucieństwo zawsze napawało ją odrazą.

A teraz za to, co wycierpiała od męża, brutalnie odpłaciła jego faworycie, chociaż klacz niczym sobie na to nie zasłużyła. Próbując powstrzymać dławiące łzy, ukryła twarz w jej grzywie.

Potem zawróciła konia i wtedy dopiero okazało się, jak bardzo kuleje. Oznaczało to, że do domu trzeba będzie iść bardzo powoli. Ruszyły z powrotem po wyboistym podłożu - nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się galopować po takim terenie.

Lorinda zdała sobie sprawę, że miną długie godziny, zanim pokonają powrotną drogę do zamku. Pomyślała, że jest to zasłużona kara za jej zachowanie.

Starając się wybierać najłatwiejszą drogę dla konia, Lorinda przyłapała się na tym, że ciągle powtarza:

- Przepraszam! Och... moja najdroższa, tak mi przykro!

Była pewna, że Ayshea rozumie, co do niej mówi.

Ponad cztery godziny później zobaczyła z daleka zamek. Miała nadzieję, że stajenny ciągle jeszcze ich szuka i że może natknąć się na niego po drodze. Szanse na to były niewielkie, ponieważ pragnąc go zgubić, ciągle kluczyła i zakręcała, tak że łatwo mógł pomylić kierunek, w którym pojechała.

Wiedziała, że upłynie następna godzina, zanim dotrze do zamku, a już teraz była bardzo zmęczona. Z coraz większym trudem stapała w wysokich jeździeckich butach. Nie było jednak innego wyjścia, jak tylko ciągle posuwać się naprzód, zachęcając do marszu okulałego konia. Im wcześniej Ayshea znajdzie się we własnej stajni, pod fachową opieką głównego masztalerza, tym lepiej.

Było popołudnie, kiedy weszły na zamkowy podjazd.

Musiały z daleka zostać dostrzeżone przez służbę - z pewnością w dalszym ciągu trwały poszukiwania - ponieważ w połowie drogi dzielącej je od domu kilka osób zaczęło biec w ich kierunku. Z ich spojrzeń Lorinda z łatwością wyczytała, że stajenny, który jej towarzyszył, powrócił już do domu i zdał ze wszystkiego relację.

- Ayshea nie tylko okulała - Lorinda wyjaśniła głównemu masztalerzowi - trzeba jej też zrobić okłady na bokach.

Po tych słowach oddaliła się, nie chcąc widzieć konsternacji na jego twarzy. Klacz została w dobrych rękach. Po wejściu do domu Lorinda poszła prosto na górę.

Pokojówka pomogła jej się rozebrać i zdjąć z nóg zakurzone buty z długimi cholewami i pokrytymi krwią ostrogami. Poplamiona była również spódnica. Lorinda odwróciła głowę, żeby tego nie widzieć.

- Zostaw to wszystko - powiedziała do pokojówki - posprzątasz później, teraz chcę zostać sama.

- Dobrze, jaśnie pani.

Pokojówka postawiła buty obok toaletki, a bat, kapelusz i rękawiczki położyła na krześle.

Lorinda włożyła delikatny szlafroczek, osunęła się na kanapę stojącą naprzeciw okna i wyciągnęła się wygodnie na miękkich poduszkach. Pokojówka przykryła ją lekkim satynowym pledem wykończonym koronką, po czym wycofała się do sypialni.

Lorinda zamknęła oczy. Była przerażona własnym zachowaniem i brakiem samokontroli.

Jak mogła okaleczyć to piękne zwierzę i tak strasznie ukarać, podczas gdy osobą, którą naprawdę chciała zranić, był jej mąż? Wstydziała się i była bardzo przygnębiona. Jak mogła upaść tak nisko, żeby zachować się jak dzikus?

Odpoczywała może z godzinę, prawdę mówiąc, trochę drzemała, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Bez pukania ani

żadnych innych wstępów Durstan Hayle wkroczył do pokoju. Lorinda usiadła, zaskoczona jego widokiem - po raz pierwszy przekroczył próg jej sypialni.

Spojrzała na niego i poczuła, że serce przestało jej bić. Wściekłość zniekształciła mu rysy twarzy. Zawsze, zdawało się, taki zimny i nieugięty, teraz twarz miał zmienioną nie do poznania. Wydał się jej dziki i okrutny jak sam diabeł!

Postąpił parę kroków naprzód, po czym zapytał:

- Właśnie widziałem klacz. Czy masz coś na usprawiedliwienie swojego barbarzyńskiego zachowania?

Nie podniósł głosu, ale jakaś nuta, która w nim zabrzmiała, spowodowała, że Lorinda instynktownie wstała z kanapy. Jeszcze przed chwilą gotowa była usprawiedliwiać się z tego, że zraniła konia, chociaż w duchu mówiła sobie, że to on ją do tego doprowadził. Ale teraz na nowo rozpałała się w niej nienawiść i raz jeszcze owładnęło nią to samo uczucie, które kazało jej uciekać przez stajennym, uwolnić się od narzuconej przez Durstana Hayle'a władzy.

Podszedł trochę bliżej. Furia, tłąca się w jego oczach, nadała twarzy diaboliczny wyraz. Nie mogła wprost uwierzyć, że był to ten sam mężczyzna, którego poślubiła.

- Zdawałem sobie sprawę, że uczucia innych ludzi są ci zupełnie obojętne - powiedział. - Wiedziałem, że jesteś samolubna, zepsuta i gruboskórna jak żadna kobieta, ale nie wiedziałem, że możesz być zdolna do takiego okrucieństwa, jakiego dopuściłaś się wobec jednej z moich ulubionych klaczy!

Przerwał na chwilę, po czym powiedział powoli i złowieszczo:

- W tych okolicznościach będzie jak najbardziej właściwe i sprawiedliwe, żebyś została potraktowana w taki sam sposób!

Lorinda nie rozumiała. Nagle krew odpłynęła ze wszystkich członków jej ciała, kiedy zobaczyła, że sięgnął po leżący na krześle bat - ten sam, którym tak okrutnie smagała konia. Gorączkowo pomyślała, że to nie może dziać się naprawdę, że jest to tylko jakiś wymysł jej wyobraźni.

Szybkim ruchem, który wyrwał z jej gardła okrzyk przerażenia, Durstan Hayle obrócił ją i rzucił na kanapę. Wylądowała twarzą w miękkich satynowych poduszkach i kiedy próbowała odwrócić głowę, żeby złapać oddech, poczuła uderzenie bata. Paroksyzm fizycznego bólu przeniknął jej ciało i serce.

Uderzył ją trzy razy i kiedy ból wydał się jej nie do zniesienia, odrzucił bat i chwycił ją za rękę.

- Żadnemu z moich koni nigdy nie trzeba było robić okładów - powiedział przerażającym głosem. - Wydaje mi się, że nie wiesz, co znaczy ukłucie ostrogi, najlepiej więc będzie, jak sama tego doświadczysz!

Podniósł jej lewy but, który pokojówka zostawiła przy toalecie, i zerwał delikatny rękaw szlafroka. Potem nastąpiło coś niewiarygodnego, wprost nieprawdopodobnego. Otóż na delikatnej skórze ramienia Lorinda poczuła bolesne ukłucie ostrogi!

Nie mogła powstrzymać okrzyku, lecz zaraz potem duma kazała jej wytrzymać ból i w milczeniu zniosła dwa następne ukłucia.

Rzucił but na podłogę obok bacika, po czym wyszedł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Leżała, tak jak ją zostawił, z trudem łapiąc oddech, niezdolna do najmniejszego poruszenia. Nie mogła uwierzyć, że zdarzyło jej się to naprawdę. Ona, najpiękniejsza i najbardziej pożądana kobieta Londynu, która nigdy żadnemu mężczyźnie nie pozwoliła się dotknąć z miłości, była batożona i kłuta ostrogami jak koń. Ból pleców był nieznośny, lecz

dużo gorsze od fizycznego cierpienia było doznane upokorzenie.

Jak większość kobiet, Lorinda nigdy nie doświadczyła przemocy, nie licząc tej od mężczyzn, którzy usiłowali wziąć ją w ramiona. Okrucieństwo, którego teraz doznała, fizyczna przewaga mężczyzny, przed którym nie potrafiła się obronić, głęboko zapadły w jej duszę.

Nie była już zdolna nienawidzić; nie była zdolna odczuwać niczego poza pragnieniem śmierci - ucieczki przed niewiadomą przyszłością, przed czymś tak złowieszczym i obezwładniającym, że nie potrafiła tego nawet określić.

- Co... ja... zrobię? Jak ja to... zniosę? - zadawała sobie pytanie.

Leżąc ciągle bez ruchu, myślała o ucieczce, czuła, że po tym, co się tu stało, nigdy więcej nie będzie mogła stanąć z nim twarzą w twarz.

"Jakże mogłaby mu teraz spojrzeć w oczy, wiedząc, jak się zachował? Jak mogłaby znieść kpinę w jego oczach i ironiczny grymas warg, wiedząc, że napawa się jej upokorzeniem i szydzi z jej bezradności. W tym momencie Lorinda zapadła się w przepaść tak głęboką i ciemną, że oczekiwała już tylko własnego unicestwienia.

W końcu duma i odwaga, których nigdy jej nie brakowało, przyszyły na ratunek. Powoli wróciło poczucie rzeczywistości.

Doznała od męża największego poniżenia, jakiego kobieta może doświadczyć od mężczyzny. Potraktował ją z okrucieństwem. Ale nie pozwoli, żeby czerpał satysfakcję z przeświadczenia, że udało mu się ją upokorzyć.

Cokolwiek on zrobi, nie będzie pokonana, nie będzie mu uległa!

Pokonując ból, powoli podniosła się z kanapy. Nie musiała oglądać pleców - wiedziała, że bat pozostawił trzy grube pręgi na białej skórze osłoniętej jedynie przezroczystą

tkaniną koszuli. Z łatwością natomiast mogła zobaczyć na ramieniu trzy krwawe ranki po ostrodze, które zaczynały puchnąć.

Podeszła do toaletki, usiadła przed lustrem i wpatrywała się w swoje odbicie. Przypuszczała, że po tym, co dziś przeszła, coś zmieni się w jej wyglądzie. Lecz poza niezwykłą bladością była piękna jak zawsze.

Poczuła szalone pragnienie okaleczenia własnej twarzy, żeby Durstan Hayle musiał spędzić resztę życia w towarzystwie szkaradnej żony, na której widok ludzie odwracaliby głowy. Uznała jednak, iż nie może mu okazać, że to, co zrobił, w jakikolwiek sposób ją dotknęło, ponieważ właśnie tego pragnął.

Zrobił jej niespodziankę, bardzo dobrze, teraz ona go zaskoczy!

- Nie poddam się! - powiedziała na głos. - Będę z nim walczyła do ostatniego tchu, nawet gdybym miała to przypłacić własnym życiem!

Kąpiel była torturą. Woda paliła pręgi na plecach i ranki na ramieniu. Wydawało się, że ból rośnie z każdą upływającą minutą.

Do kolacji wybrała specjalnie jedną z najatrakcyjniejszych sukien, które przyszły z Londynu, a pokojówka ułożyła jej włosy w nową, bardziej fantazyjną fryzurę. Żałowała, że nie ma żadnej biżuterii - na pewno jej wejście zrobiłoby wówczas większe wrażenie.

Nagie plecy okryła wyszywaną chustą, a w ręku trzymała pięknie malowany, kokieteryjny wachlarzyk.

Pięć minut przed kolacją powoli zeszła po schodach. Choć sprawiała wrażenie opanowanej, serce waliło jej jak szalone. Spotkanie z mężem i udawanie, że nic się nie stało, okazało się wyzwaniem trudniejszym, niż sądziła. Każdym nerwem

pragnęła rzucić się na niego z wściekłością, wykrzyczeć mu, co o nim myśli, w nadziei że go upokorzy.

Wtedy pomyślała, że sposób, który wybrała, jest znacznie bardziej subtelny. Do tej pory na pewno już ochłonął i może nawet wstydzi się swojego brutalnego ataku. Z pewnością żaden mężczyzna, który uważa się za dżentelmena, nie mógłby czuć się inaczej!

- Ale czy on jest dżentelmenem? - spytała pogardliwie. Czy też jego dostojeństwo i wyróżniający się wygląd są tylko powierzchowną ogładą? A w środku, tak jak przypuszczała, jest po prostu plebejuszem, kupcem, który zapragnął arystokratycznej żony?

Pogarda, jaką odczuwała, spowodowała, że poruszała się dumnie, a jednak mimo wszystkich wcześniejszych postanowień zdenerwowała się, kiedy lokaj otworzył przed nią drzwi do salonu.

Ze zdziwieniem i z ulgą zobaczyła, że mąż nie jest sam. Proboszcz, który udzielił im ślubu, stał razem z nim w końcu pokoju, ze szklaneczką madery w ręku.

Lorinda podeszła do nich powoli.

- Obawiam się, Lorindo, że zapomniałem cię uprzedzić, iż wielbny Augustine Trevagan jest dziś naszym gościem.

- Jak miło widzieć wielbnego ojca! - powiedziała Lorinda, wyciągając rękę na przywitanie.

- Czuję się szczególnie zaszczycony, jaśnie pani, ponieważ, jak słyszę, jestem pierwszym gościem państwa.

- Tak jest w istocie i cóż mogłoby być bardziej stosownego, zważywszy, że to wielbny udzielił nam błogosławieństwa? - zapytała.

Wypowiadając te słowa, zmusiła się do słodkiego uśmiechu, którym obdarzyła Durstana Hayle'a. Miała nadzieję, że wprawi go to w zakłopotanie, a może nawet poczuje się zmieszany.

Zasiedli do kolacji i rozmowa cały czas toczyła się wokół ulepszeń kościoła, za które Durstan miał zapłacić. Kolacja się przeciągała i po którymś z kolei daniu Lorinda poczuła się nagle bardzo zmęczona. Przekora, która przywiodła ją na dół, żeby stawić czoło mężczyźnie, który ją znieważył, wyraźnie osłabła od momentu, kiedy plecy jej zeszywniały, a ból wzrastał z każdą minutą.

Rany od ostrogi na jej ramieniu dokuczały mocniej niż pręgi od bata, lecz ból nakładający się z obu tych miejsc był nie do wytrzymania - nie mogła nic przełknąć. Przesuwała jedzenie po talerzu, kiedy zaś podnosiła do ust nawet najmniejszy kęs, czuła ścisk w gardle.

Wypiła odrobinę wina, lecz wzmogło to tylko wrażenie, że zapada się gdzieś w ciemność.

Muszę dotrzeć na górę! - pomyślała.

Zwykła słabość nie może jej teraz zdradzić. Nie może zmarnować całego włożonego w to wysiłku. Jednak od śniadania nie miała nic w ustach, a powrotna droga do domu z okulałą kłaczą wyczerpała ją fizycznie i psychicznie.

Rozmowa skupiła się teraz wokół witraży. Wydawało się, że Durstan ma dużą wiedzę w tej materii. Razem z proboszczem porównywali zalety różnych rodzajów szkła i zastanawiali się, który byłby najbardziej odpowiedni dla kościoła, biorąc pod uwagę styl, w jakim został wzniesiony.

Wszystko to było bardzo nudne, ale też Lorinda zdawała sobie sprawę, że w swoim obecnym stanie nie potrafiłaby się zmusić do słuchania rozmowy nawet najbardziej błyskotliwych i inteligentnych ludzi w kraju.

W końcu podano główne danie. Przed Durstanem ustawiono karafkę porto i służba wycofała się z jadalni. Lorinda wiedziała, że był to moment, w którym zgodnie z etykietą może opuścić mężczyzn i przejść do salonu. Nie będzie już dłużej musiała prosto się trzymać ani udawać



zainteresowania konwersacją, jednocześnie starając się ze wszystkich sił zignorować ból, który lada chwila mógł ją całkowicie obezwładnić.

- Zostawię... panów... teraz... przy porto - udało jej się wydukać.

Wtedy przeraziła się, że nie da rady wstać od stołu. Udało się, lecz dotkliwy ból w plecach sprawił, że oczy przesłoniła jej jakaś mgła, przez którą wszystkie przedmioty w pokoju widziała z pewnego oddalenia.

Durstan szedł przed nią, żeby otworzyć drzwi. Ledwo mogła go dojrzeć. W uszach miała jakieś głucho dudnienie, jakby ktoś w pobliżu grał na bębnach.

Nie... poddam się! - myślała. - On... tylko... na to... czeka! Chce... zatriumfować, ale ja mu... na to... nie pozwolę!

Posuwała się do przodu. Stopy, które ciążyły, jakby były ze stali, przestawiała jedną za drugą. W pewnej chwili wydało się jej, że obok niej idzie Ayshea, ale zorientowała się, że to mąż.

Minęła drzwi. Udało się! Wygrała!

Kiedy usłyszała, jak się za nią zamykają, całkowicie poddała się ciemnościom i niemal z wdzięcznością zatopiła się w nieświadomości. Dłużej nie musiała już myśleć ani czuć.

Nie wiedziała, że Durstan usłyszał głuchy odgłos upadającego na dywan ciała. Ponownie otworzył drzwi, schylił się, wziął ją na ręce i odniósł na górę do sypialni.

## Rozdział 6

Obudziła się rano. Leżąc bez ruchu, przypominała sobie, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

Kiedy niesiono ją na górę, częściowo odzyskała przytomność. Wiedziała, kto ją niesie, i stała się rzecz bardzo dziwna. Otóż, otoczona ramionami męża, zamiast odczuwać odrazę, poczuła się bezpieczna i chroniona. Nie potrafiła jasno myśleć, a jednak kiedy delikatnie położył ją na łóżku, w jakimś odruchu chciała do niego przylgnąć i błagać go, żeby jej nie opuszczał. Wtedy przypomniała sobie, ile wycierpiała, i nie otwarła oczu.

Gwałtownie pociągnął za dzwonek i chwilę później, kiedy przybiegła pokojówka, usłyszała, jak mówił:

- Zajmij się panią. Jest zmęczona.

Odszedł, a Lorinda złapała się na tym, że wsłuchuje się w odgłos jego oddalających się kroków. Zachciało jej się płakać. Potem wytłumaczyła sobie, że to pod wpływem słabości, która jest wynikiem omdlenia i przejść minionego dnia.

Rozpamiętywała jeszcze zdarzenia z poprzedniego wieczoru, kiedy do sypialni weszła pokojówka, żeby rozsunać zasłony.

- To była okropna noc, proszę pani - powiedziała, kiedy zobaczyła, że Lorinda nie śpi. - Zapewne słyszała pani burzę! Drzewa w parku są poprzewracane, a ludzie mówią, że parę łodzi zaginęło na morzu.

Pomimo bólu w plecach Lorinda usiadła w łóżku. Przez okno widać było szare niebo i gałęzie drzew gnące się pod naporem wiatru.

- Mam powiedzieć jaśnie pani - ciągnęła dalej pokojówka - że pan pojechał zobaczyć zniszczenia i nie wróci przed obiadem.

Z westchnieniem ulgi Lorinda opadła z powrotem na poduszki. Znaczyło to, że może jeszcze odpoczywać, a choć

spała w nocy, ciągle czuła się zmęczona po trudach minionego dnia.

Wypiła filiżankę kawy i z powrotem poszła spać. Wstała dopiero przed obiadem. Zdażyła się ubrać i zejść na dół, kiedy wrócił Durstan. Wszedł do salonu, gdzie na niego czekała, a ona przywitała go lęklwym spojrzeniem. Pierwszy raz byli ze sobą sami, od czasu kiedy ją wychłostał.

Czuła się zbyt osłabiona, żeby zaczynać następną utarczkę. Kiedy się do niej zbliżał, patrzyła na niego ogromnymi oczyma.

- Szkody są mniejsze, niż się obawiałem, ale i to wystarczy - powiedział tonem zwykłej konwersacji. - Na jednej z farm zniszczone są dwie stodoły, z których dachówka rozrzucona jest w promieniu wielu metrów.

Podszedł do barku, żeby nalać sobie sherry.

- Czy mogę zaproponować ci kieliszek madery? - zapytał uprzejmie.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała.

- Najgorsze zniszczenia wyrządziło morze - ciągnął dalej. - Podmyte zbocza w wielu miejscach niebezpiecznie się obsunęły. Przemysłowcy będą musieli poszukać jakiegoś innego zacisznego odludzia na wyładunek swoich towarów. Lorinda zamarła w bezruchu.

- Przemysłowcy? - powtórzyła. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- W tej chwili żadna łódka nie mogłaby wpłynąć do Zatoki Keverne.

Popatrzyła na niego i zaparło jej dech w piersiach.

- To byłeś ty! - wykrzyknęła. - Ty... wtedy w lesie!

- Zastanawiałem się, kiedy się zorientujesz.

- Ale.., dlaczego? Dlaczego mi przeszkodziłeś? Co to miało z tobą... wspólnego?

Przeszedł przez pokój i stanął obok niej na dywaniku przed kominkiem.

- Odgadłem, co chciałaś zrobić - powiedział po chwili.

- Ale co cię to mogło obchodzić... kiedy nawet mnie... nie znałeś?

Durstan nie odpowiadał przez chwilę. Potem rzekł:

- Znam kilku z nich. Pracują w mojej posiadłości. To dzielni ludzie i nie mam zamiaru zakłócać czegoś, co jest tutejszą tradycyjną rozrywką. Lecz są to ludzie nieokrzesani, czasami nawet brutalni.

- Nie skrzywdziliby mnie - dumnie odparła Lorinda.

Patrzył na nią, kiedy mówił wolno:

- Nie możesz być tego pewna.

- Chciałam jedynie zainwestować pieniądze... nic więcej.

Durstan uśmiechnął się i odpowiedział:

- Widocznie rzadko spoglądasz w lustro.

Patrzyła na niego w osłupieniu, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, kamerdyner oznajmił, że podano do stołu.

Podczas lekkiego obiadu Lorinda z trudem uświadomiła sobie, że mąż powiedział jej pierwszy komplement. Rozmawiali głównie o burzy i o szkodach, jakie morze wyrządziło urwistym brzegom. Przypomniała sobie, że skalne zbocza Kornwalii pokryte były przede wszystkim łupkiem, podatnym na niszczycielski wpływ powietrza. Skutkiem tego nadmorskie zbocza Kornwalii miały dziwny, niezwykły wygląd i były zjawiskiem wyjątkowym na terenie całej Brytanii.

- Dzięki Bogu, burza się skończyła! - powiedział Durstan, kończąc posiłek. - Ale morze ciągle jest wzburzone i sądząc po tym, co fale wyrzucają na brzeg, zatoneło pewnie kilka łodzi.

- Czy poszukują już rozbitków? - chciała wiedzieć Lorinda.

- Zaczna, jak tylko morze się uspokoi.

Wstali od stołu. Durstan wyszedł przed dom i podszedł do konia. Brutus podążył za nim, ale Cezar został z Lorinda. Wcześniej tego ranka przyszedł pod jej drzwi i skrobał, dopóki go nie wpuściła. Potem położył się obok łóżka.

Pochyliła się teraz, żeby go pogłaskać, a kiedy na nią popatrzył, powiedziała:

- Pójdziemy na spacer.

Ożywił się na te słowa, a ona pobiegła na górę po krótki zakiet do swojej letniej sukienki i odpowiedni na tę pogodę kapelusz z wstążkami, które można zawiązać pod brodą.

Wiatr osłabł i był już mniej porywisty. Ruszyła z Cezarem przez ogrody pełne porozrzucanych kwiatów, które wiatr postrącał z krzewów, a także leżących na trawnikach połamanych gałęzi, które ogrodnicy właśnie zaczynali uprzętać.

Po obejrzeniu ogrodów Lorinda powędrowała dalej, przez zagajniki, aż do lasu. Usłyszała plusk fal i zorientowała się, że morze jest już niedaleko. Wdrapując się na niewielkie wzniesienie, w przelocie ujrzała jego skrawek. W słońcu było szmaragdowe i lazuruwe, rozhuśtane białogrzywymi falami aż po sam horyzont.

Wiatr oblepił spódnice dookoła jej ciała, podniosła ręce, żeby przytrzymać kapelusz. Było dość ciepło, a w powietrzu czuć było coś radosnego i ożywczego.

Ciągle myślała o swoim odkryciu, o tym, że to Durstan był tym człowiekiem, który pochwycił ją wtedy w lesie o świcie, udaremniając pertraktacje z przemytnikami. Żałowała, że nie zapytała go, co tam robił, w jaki sposób domyślił się, kim była, skoro miała na sobie męski strój, i dlaczego jej wygląd był powodem, dla którego spotkanie nie mogło dojść do skutku. To pytanie nurtowało ją najbardziej ze wszystkich.

Czy to możliwe, że pod maską obojętności i potępienia, jakie zawsze malowały się na jego obliczu, skrywał odrobinę admiracji dla jej urody? Nie mogła w to uwierzyć.

Żaden mężczyzna, który się nią interesował, nie mógłby zachować się tak jak Durstan. A jednak w końcu obdarzył ją komplementem, nawet jeśli był on troszkę dziwny.

On jest taki nieobliczalny... tak trudno go zrozumieć - powiedziała z westchnieniem.

Szła przed siebie, dopóki nie zorientowała się, że brzeg urwiska jest już blisko i nie powinna się do niego zbliżać. Zdawała sobie sprawę, że mąż miał rację, kiedy powiedział, iż urwiska są bardzo niebezpieczne, a już szczególnie po burzy. Pamiętała z dzieciństwa, że nie pozwalano jej zbliżać się do stromych granitowych brzegów w pobliżu Priory.

Mimo wszystko morze było zachwycające. Przyglądała mu się przekonana, że dotychczas żadnemu malarzowi nie udało się wiernie oddać piękna morskich fal.

Z zamyślenia wyrwał ją ostry skowyt. Rozejrzała się dookoła. Szczeknięcie rozległo się ponownie i teraz już śmiertelnie przerażona zdała sobie sprawę, że wydobywa się gdzieś spod urwiska. Zrobiła kilka kroków naprzód i nagle zrozumiała, co się wydarzyło. Krążąc dookoła z nosem przy ziemi, Cezar podszedł za blisko do krawędzi urwiska, które osunęło się pod jego ciężarem. Spadł kilka stóp niżej, prawdopodobnie na skalny stopień.

Po wyboistym gruncie Lorinda podczołgała się do miejsca, skąd mogła go dobrze widzieć. Tam, gdzie się w tej chwili znajdował, był jeszcze stosunkowo bezpieczny, lecz poniżej, prawie do samej powierzchni morza, była już tylko skała. Centymetr po centymetrze posuwała się do przodu, aż do dotarła do miejsca, gdzie mogła wysunąć rękę poza krawędź. Cezar jednak był niżej, niż sądziła, i nie mogła go dosięgnąć.

- Siad! - rozkazała mu.

Posłusznie usiadł, wpatrując się w nią ufnymi ślepiami, podczas gdy ona gorączkowo zastanawiała się, jak go wyratować. Nie mogła zejść do niego na dół ani też nie udało się jej pochwycić go za obrozę i wyciągnąć do góry, jak mógłby to zrobić mężczyzna.

Nie zastanawiając się długo, podjęła decyzję.

- Siad, Cezar! - jeszcze raz poleciała psu. - Dobry pies! Waruj!

Wiedziała, że rozumie, ponieważ słyszała, jak Durstan wydawał mu taką samą komendę i dopóki nie wydano innego rozkazu, pies posłusznie zostawał na miejscu. Modląc się, żeby tak było i tym razem, Lorinda zaczęła się powoli wycofywać. Podniosła się dopiero, kiedy uznała, że ma pewny grunt pod nogami.

Wszystko teraz było kwestią czasu. 'Zanim kogoś znajdzie, Cezarowi może znudzić się wykonywanie jej polecenia, szczególnie kiedy jej tam nie będzie.

Do zamku było dość daleko. Lorinda zaczęła biec ścieżką, którą tu przyszli. Była już prawie w lesie, kiedy trochę poniżej, w pewnej odległości, zobaczyła sylwetkę jeźdźca na koniu. Rozpoznała go i zaczęła wołać, ale wiatr zagłuszał jej krzyki. Straciła nadzieję, że zostanie usłyszana. Wtedy zerwała z głowy kapelusz i zaczęła nim wymachiwać dziko, obserwując mężczyznę na olbrzymim karym koniu, w którym rozpoznała Akbara. Wołała i machała kapeluszem, ale upłynęło trochę czasu, zanim zwróciła jego uwagę. Zobaczyła, jak Durstan - odwraca głowę, i z prawdziwą ulgą spostrzegła, że kieruje konia w jej stronę i zbliża się galopem.

Zanim zdążył zapytać, co się stało, wyrzuciła z siebie zdyszczanym, urywanym głosem:

- Cezar! Spadł... z urwiska, a ja... nie mogę... go dosięgnąć. Och, proszę... Durstanie... uratuj go! - Oczywiście!

Kiedy to mówił, nachylił się nad nią, a ona wyciągnęła ramiona. Durstan wciągnął ją przed siebie na siodło. Trzymał ją mocno lewą ręką, podczas gdy drugą powadził konia.

- Gdzie mam jechać? - zapytał.

Wskazała wąską leśną ścieżkę.

- Nie wiem, jak to się stało - opowiadała bardzo strapiona.

- Stałam nad urwiskiem i patrzyłam sobie na fale, a Cezar musiał chyba biegać po okolicy z nosem przy ziemi, kiedy nagle urwisko osunęło się pod nim.

Była tak przejęta i zmartwiona, że nie zdawała sobie sprawy, że mąż trzyma ją w ramionach i przyciska do siebie. Ponieważ zdjęła kapelusz, wiatr rozwiewał jej puszyste włosy, których pasma w nieładzie okalały jej blade policzki.

- Powiedziałam mu, żeby warował - ciągnęła bardzo przejęta. - Jestem pewna, że będzie bezpieczny, jeśli się nie poruszy. Czy sądzisz, że mnie usłuchał?

- Jestem pewien - odpowiedział miękko. Wjechali na szczyt wzniesienia. Durstan osadził konia w miejscu.

- On jest tam... o, tutaj! - pokazała Lorinda. Durstan zeskoczył z konia, potem zсадził z niego Lorindę. Następnie przywiązał Akbara do pniaka martwego drzewa, które nie przetrwało poprzedniej nawałnicy.

- Zostań tu! - powiedział Lorindzie.

Położył kapelusz na ziemi i ruszył przed siebie. Kiedy zbliżył się do krawędzi urwiska, zaczął, tak samo jak ona wcześniej, posuwać się na czworakach. Przy samej krawędzi wyciągnął się jak długi na mokrej ziemi.

Usłyszała, że przemawia do Cezara i odetchnęła z ulgą - pies wykonał polecenie i siedział bez ruchu. Z ręką na szyi Akbara obserwowała, co będzie dalej. Zobaczyła, że Durstan przesuwa się jeszcze ku przodowi. Potem bardzo ostrożnie i powoli opuścił się w dół urwiska.

- Ostrożnie! Ostrożnie! - krzyknęła zdenerwowana.



Ale nie zwracał uwagi, tylko dalej zsuwał się w dół, tak, że teraz widziała już tylko czubek jego głowy. Czekwała cała w napięciu i po chwili zobaczyła, jak podrzucony do góry ponad brzegiem urwiska pojawił się Cezar.

- Cezar! - zawołała.

Pies przybiegł do niej: Czule otoczyła go ramionami i przytuliła mocno do siebie, niewypowiedzianie szczęśliwa, że jest już bezpieczny. Teraz z niepokojem spoglądała w kierunku krawędzi, czekając, aż pojawi się Durstan. Najpierw wyłoniła się jego głowa, potem chwytające brzeg urwiska ręce. Wtedy usłyszała jego krzyk, potem złowieszczy huk i łoskot zagłuszył odgłos fal uderzających o brzeg.

Przez chwilę nie mogła się poruszyć. Serce zaczęło jej łomotać jak szalone i nagle zaschło jej w ustach. Zaczęła czołgać się do miejsca, z którego wyłonił się Cezar.

- Waruj! - zdławionym głosem rzuciła przez ramię do psa.

Posłuchał, więc tak szybko, jak to było możliwe, zbliżyła się do urwiska. Spojrzała w dół i krzyknęła z przerażenia.

W jednej chwili zrozumiała, co się stało. Skalny występ, na który spadł Cezar i na którym musiał stanąć Durstan, obsunął się pod jego ciężarem. Daleko w dole, prawie na poziomie morza, zobaczyła jego rozciągnięte na skałach ciało. Upadł na plecy, a lawina kamieni, którą za sobą pociągnął, przysypała go do połowy.

Ta chwila, kiedy Lorinda patrzyła na dół w śmiertelnym przerażeniu, trwała wieczność. W jej głowie błysnęła myśl - musi go uratować!

Poczołgała się z powrotem, potem pobiegła do Akbara. Odwiązała konia i bez trudu się na niego wspięła, dziękując Bogu, że szeroka spódnica umożliwia jej jazdę po męsku. Tą samą ścieżką przez las pogalopowała do zamku. Cezar biegł z tyłu za koniem. Nie trwało to długo, lecz Lorindzie wydawało się, że wieki całe minęły, zanim dotarła do stajni i

opowiedziała masztalerzowi, co się wydarzyło. Wysłała też kogoś w poszukiwaniu zarządcy. Przybiegł z zamku.

- Czy to prawda, jaśnie pani, że pan Hayle spadł z urwiska? - zapytał.

- Ratował Cezara. Leży nieprzytomny u podnóża skał. Czy nie dałoby się podpłynąć do niego łodzią?

- Nie będzie to możliwe, dopóki morze się nie uspokoi - odparł. - W ciągu kilku sekund łódź rozbiłaby się o skały.

- W takim razie musimy spróbować użyć lin - powiedziała. - Już poleciłam stajennemu, żeby je przyniósł. Wyraz twarzy zarządcy zdawał się mówić, że ten pomysł nie jest bezpieczniejszy od poprzedniego, dorzuciła więc ostro:

- Proszę mi przygotować koce, poduszkę i manierkę brandy. Wszystko to chcę mieć natychmiast!

- Oczywiście, jaśnie pani.

Zarządca pobiegł wypełnić jej polecenia, a chłopcy stajenni siodłali i wyprowadzali konie ze stajni. Cezara zabrano do zamku.

W końcu Lorinda na grzbiecie Akbara poprowadziła orszak złożony z sześciu ludzi na koniach. Zatrzymała się tam, gdzie poprzednio. Z końmi pozostało dwóch służących, podczas gdy ona pokazała reszcie, w jaki sposób mają się zbliżać do krawędzi.

Spojrzeni w dół, Durstan leżał ciągle w tej samej pozycji. Fale z impetem rozbiły się o skały. Zarządca miał rację, że nie można byłoby podpłynąć tu łodzią.

- Spuście liny trochę bardziej na lewo - powiedziała. - Skały wyglądają tam na trochę mocniejsze.

- Mam wątpliwości, jaśnie pani. Po wczorajszej burzy łupek kruszy się przy dotyku ręką i, jak już się pani przekonała, bardzo niebezpiecznie jest podchodzić do krawędzi.

- Wyjaśnię wam teraz, co zrobicie - odparła. Poszła przodem, a oni podążyli za nią. Wyczuwała, że są gotowi kwestionować każdą jej sugestię. Wtedy zatrzymała się i powiedziała z mocą:

- Chcę, żebyście obwiązali mnie linami i stanęli tutaj, mocno je trzymając. Zacznę schodzić w dół urwiska. Dopóki nie krzyknę, musicie opuszczać mnie powoli na napiętych linach.

- Pani, to niemożliwe! - zaproponował zarządca. - Nie mogę na to pozwolić. Pójdzie jeden z nas.

- Jestem od was znacznie lżejsza - odpowiedziała Lorinda. - Na pewno mi się uda. A teraz proszę dokładnie wykonać moje polecenia. Gdy już będę na dole, zrzucicie mi koce, najbliżej miejsca, gdzie leży pan. Nie podchodźcie do brzegu urwiska, bo możecie stracić w dół kamienie. Wezmę ze sobą manierkę.

Włożyła ją do kieszeni zakietu i zaczęła posuwać się w kierunku krawędzi.

- Nie mogę pani na to pozwolić! - krzyknął zarządca. - To szaleństwo! Może się pani coś stać, może się pani zranić!

- Wspinałam się po tych skałach, kiedy byłam dzieckiem - odpowiedziała - i nie boję się. Zróbcie tylko, co wam powiedziałam!

Podpełzła do krawędzi, potem bardzo ostrożnie, trzymając się mocno liny, zaczęła się spuszczać w dół. Z początku miała trudności z wynajdywaniem oparcia dla stóp. Jednocześnie cały czas musiała uważać, żeby nie spowodować następnej lawiny kamieni.

Powoli schodziła na dół, czasami ślizgając się na mokrych, kruszących się skałach, czasami czując się, jakby była zawieszona w próżni, gdy nie znajdowała oparcia dla nóg i rąk. W końcu dotarła do twardego podłoża i odczepiła liny. Krzyknęła do stojącego na górze zarządcy. Był na tyle

przezorny, żeby nie stać bezpośrednio nad nią. Pomachała do niego, a on skinął ręką w odpowiedzi.

Teraz powoli zaczęła posuwać się w kierunku Durstana. Uważnie wybierała na śliskich skałach miejsca, na których ostrożnie stawiała stopy. Nie było to wcale łatwe, ponieważ wszędzie były głębokie szczeliny. Przeżyła też chwilę grozy, kiedy miała wrażenie, że już - już zsuwa się do morza.

Bryzgi fal zalewały jej oczy i musiała często się zatrzymywać, żeby obetrzeć twarz. W końcu jednak dotarła do Durstana. Leżał zupełnie bez ruchu. Przez moment serce jej zamarło na myśl, że może już nie żyje. Na czole miał krwawiącą ranę, zapewne od uderzenia większego odłamka skalnego.

Odgarniając kamienie, którymi był przysypany, zastanawiała się, ilu złamań doznał w wyniku takiego upadku. Być może wysokie buty jeździeckie ochroniły jego kostki. Co do reszty nie miała pewności.

Nie był mokry, lecz coraz bardziej wilgotny od ciągle opryskujących go fal. Usłyszała krzyk i spojrzała w górę. Zwinięte w węzełek koce wylądowały sześć stóp dalej. Rozwiązała je i dwoma przykryła męża. Bardzo delikatnie wsunęła mu pod głowę poduszkę.

Był nieprzytomny i przez chwilę rozważała, czy nie powinna spróbować wlać mu do ust trochę brandy. Zdecydowała się jednak tego nie robić.

Zdjęła już z niego wszystkie kamienie i teraz starała się wyczuć ręką, czy nie ma przypadkiem jeszcze jakiegoś pod sobą, który mógłby go uwierać. Nic chyba więcej nie mogła w tej chwili zrobić.

Było późne popołudnie, słońce już zaszło i zdała sobie sprawę, że będą musieli spędzić tutaj noc. Nawet jeśli morze uspokoi się w ciągu godziny lub dwóch, nikt nie zdoła dotrzeć w łodzi do podnóża urwiska. Było tu wiele skał ledwo

wystających z wody i w ciemności nie dałoby się było ich wyminąć.

Lorinda była pewna, że zarządca zrobi wszystko, co możliwe, żeby następnego dnia przeprowadzić akcję ratowniczą. W tej chwili musiała zadbać, aby Durstan - przeżył, a także ochronić siebie przed przemarzeniem.

Bardzo delikatnie dotknęła najpierw jego dłoni, potem twarzy. Z zamkniętymi oczami wygląda znacznie młodziej, pomyślała. I mniej groźnie. Właściwie - doszła do wniosku - jest w nim nawet coś wzruszającego, kiedy nie jest już taki władczy i surowy. I gdy nie straszy jej ciągle jakimiś rozkazami.

Jest po prostu człowiekiem, który cierpi z powodu jej błędu. Bolała ją ta myśl, a jednak to była prawda. Zawiniła, ponieważ podeszła z Cezarem za blisko do urwiska. Gdyby miała choć trochę rozsądku, zdałaby sobie sprawę z niebezpieczeństwa i wzięła psa na smycz.

- Wszystko, co robiłam od dnia ślubu, było niewłaściwe - powiedziała do siebie, pociągając nosem.

Myślała o swoim wczorajszym zachowaniu i okrucieństwie, z jakim potraktowała klacz. Już nie drżała z zimna, ale pod ciężarem stawianych sobie zarzutów. Jak mogła być tak nieopanowana, tak brutalna?

- Już nigdy - przysięgała - nigdy więcej... nie będę jeździła w ostrogach... nigdy!

Czuła się taka nieszczęśliwa, że zupełnie odruchowo przysunęła się bliżej Durstana. Zastanawiała się, czy ciężko się zranił. Z przerażeniem przypomniała sobie, że osiem lat temu dwaj chłopcy z wioski spadli ze skał podczas wybierania jaj z ptasich, gniazd i obaj zginęli.

- Byli młodzi i niewytrzymali. Durstan jest mężczyzną - pocieszała się.

Jednak się bała. Zaczęło się ściemniać. Uznała, że jedyna sensowna rzecz, jaką może zrobić, to położyć się jak najbliżej męża, żeby mogli wzajemnie ogrzewać się ciepłem własnych ciał. Najłatwiej byłoby wsunąć ramię pod jego szyję i spróbować przyciągnąć go do siebie; wtedy będą mogli podzielić się poduszką.

Wcześniej przykryła go już dwoma kocami. Teraz trzeci narzuciła na nich oboje, naciągając wysoko pod brodę. Objęła go ramionami i przyciągnęła blisko do siebie. Zapadła ciemność. Nie widziała już jego twarzy, czuła jedynie ciężar głowy męża na swoich piersiach.

- Wszystko będzie... dobrze - szeptala jak do dziecka, - Nawet jeśli coś sobie złamałeś... wszystko się zagoi. Doznałeś wstrząsu, ale to też... przejdzie po kilku dniach.

Poprzez huk morza słyszała szmer własnego głosu. W ciemnościach dodawało jej to otuchy, więc mówiła dalej:

- Jesteś silny... silniejszy niż większość mężczyzn... na pewno nie będzie żadnych trwałych urazów... chociaż może cię boleć przez jakiś czas.

Zapadła ciemna noc, na niebie nie było ani jednej gwiazdy. Nagle Lorinda poczuła strach. Nie bała się nocy, lecz tego, że Durstan może umrzeć teraz, w jej ramionach. Leżał zupełnie bez ruchu. Położyła mu rękę na lodowatym policzku, potem wsunęła ją pod płaszcz, gorączkowo rozpinając guziki koszuli, żeby poszukać serca. Wyczuła jego bicie i rozplakała się z radości.

Nie było w tym nic złego ani zdrożnego, że dotykała nagiego ciała mężczyzny; nie cofnęła ręki, czując ciepło i gładkość jego skóry.

- Już wszystko... dobrze - szepnęła. - Żyjesz. Będziesz... żył!

Kiedy to mówiła, przysunęła twarz do jego twarzy i na swojej gładkiej skórze poczuła zimny policzek męża.

- Musisz... żyć! - powiedziała. - Musisz! Chcę żebyś żył!

Nagle zamarła, zdumiona własnymi słowami. Ale przecież to, co przed chwilą powiedziała, było prawdą. Chciała, żeby żył! Chciała z nim być i już nie czuła nienawiści!

Mimo że zdrętwiało jej ramię, które podłożyła mu pod głowę, nie poruszyła się. Nie spała. Długie godziny w ciemnościach mijały powoli, ale wierzyła, że tylko czuwając może chronić mężczyznę, którego trzyma w ramionach. Pod wpływem kontaktu z jego ciałem obudziło się w niej nowe, dziwne uczucie, którego nigdy przedtem nie zaznała. Po raz pierwszy w życiu bliskość mężczyzny nie budziła w niej odrazy.

- On mnie potrzebuje - pomyślała. - W tej chwili nikt inny na całym świecie nie może dać mu tego, co ja mu daję.

Poczuła, że serce jej rwie się do niego z pomocą, chcąc go utrzymać przy życiu. Wiedziała, że jeśli odda mu - choćby najmniejszą - część swojego jestestwa, zadanie to może być wykonane.

Raz omal nie zasnęła, lecz otrząsnęła się szybko. Z trwogą sprawdziła, czy bije mu serce. Prawie jak zdradę odczuła tę krótką przerwę w przekazywaniu mu zbawczej siły, która zdawała się wprost emanować z jej ciała.

Jeszcze przed nadejściem świtu modliła się gorąco:

- Boże, spraw, żeby wyzdrowiał! Spraw, żeby nic mu nie było od upadku... od zimna ani od tego, że jest mokry. Miej go w opiece i chroń go, tak jak ja próbowałam.

Była to modlitwa płynąca z głębi serca. Mgliście, jakby na pocieszenie, przypomniała sobie, że kiedyś słyszała, jakoby mniej niebezpiecznie jest być zmoczonym morską wodą niż deszczówką. Poza tym ogrzewała go. tego pewna! Niebo zaczęło się rozjaśniać. W nocy nie widziała morza, mimo to mogła ocenić, że odgłos uderzeń fal o skały staje się coraz słabszy, aż w końcu zamienił się w zwykły plusk. Teraz blade,

opalizujące światło zaczęło wypierać ciemności i Lorinda zobaczyła, że morze jest

prawie nieruchome. Białe, grzywiaste fale zniknęły bez śladu, razem z nimi fontanny wody, które wznosiły uderzając o skały. Pozostało tylko ciche chlupotanie przyływu i wiedziała, że ocalenie jest coraz bliższe.

Jej dłoń cały czas spoczywała na piersi Durstana, w miejscu, gdzie mogła wyczuć serce. Pomyślała, że choć on nigdy się nie dowie, jak upłynęła ta noc, ona jej nie zapomni.

- Opiekowałam się tobą - powiedziała miękko. Mówiąc to pomyślała, że mógłby być jej synem, a nie mężem. Potrzebował jej i ona go nie zawiodła. W jej ramionach wydawał się bezradny jak niemowlę.

Ciekawe, jakie to uczucie trzymać w ramionach własne dziecko?

Jeśli będę miała dziecko, nigdy nie pozwolę, żeby czuło się nie chciane - pomyślała.

Nie chciane - tak jak ona. Ciągłe bolesne było wspomnienie, że ojciec miał jej za złe, iż nie jest chłopcem.

Nie okazywał jej miłości; a często wręcz czuła jego nie skrywaną niechęć. Matka też wcale nie potrzebowała jej miłości. Całkowicie pochłonięta mężem, zawsze jasno dawała do zrozumienia, że Lorinda powinna być chłopcem, którego oboje pragnęli.

- Nigdy nie miałam nikogo, kogo mogłabym kochać - mówiła sobie.

Ależ to właśnie jest przyczyna jej chorobliwej niezależności, ciągłej chęci pokazania światu, że jej na nikim nie zależy, doszła nagle do wniosku.

- Jestem samowystarczalna! Mam siebie, i to wszystko, czego pragnę!

Od czasu do czasu potrafiła to głośno wykrzyknąć. Ale to nie była prawda. Tęskniła, żeby móc ofiarować swoją - miłość



komuś, kto będzie jej potrzebował. Nie namiętność - to było zupełnie co innego i budziło w niej przerażenie - ale głęboką, bezinteresowną miłość, bardziej duchową niż fizyczną. Miłość, którą kobieta obdarza własne dziecko albo mężczyznę potrzebującego nie tylko jej ciała, ale właśnie duszy.

- Zawsze tego pragnęłam - powiedziała do siebie.

Na powiekach poczuła migotanie pierwszych promyków słońca. Podniosła głowę i zobaczyła płynącą w ich kierunku łódkę z sześcioma wioślarzami. Niedługo będziemy w domu!

Podczas gdy wioślarze manewrowali łodzią, starając się ustawić ją dokładnie pod nimi, Lorinda podniosła się ostrożnie i spróbowała uwolnić spod głowy Durstana swoje zeszywniałe ramię. Właśnie wtedy ogarnęła ją przemożna chęć pozostania tu, gdzie była, ponieważ uświadomiła sobie, że kocha tego mężczyznę!

Następnych kilka dni, jak to później wspominała, było jednym wielkim koszmarem niepokoju. Wezwano doktora, który według zapewnień zarządcy miał być najbardziej doświadczonym specjalistą ze wszystkich dostępnych w promieniu stu mil. Jednak Lorindzie wydało się, że niewiele wie o tym, jakie konsekwencje może mieć taki upadek dla mężczyzny wzrostu Durstana i w jego wieku.

- Jedno lub dwa żebra mogą być złamane, ale nie mogę tego na pewno powiedzieć - orzekł. - Ma mnóstwo siniaków i lewy nadgarstek jest mocno zwichnięty.

- Nie odzyskał jeszcze przytomności - martwiła się Lorinda - a minął już trzeci dzień od wypadku.

Doktor wzruszył ramionami.

- Wstrząs ma dziwny przebieg, a mąż jaśnie pani jest potężnym mężczyzną. Jeśli upadł na głowę, mogą być komplikacje.

- Jakiego rodzaju? - chciała wiedzieć Lorinda. Lecz doktor mówił bardzo niejasno. Wspomniał coś o krwotoku do

mózgu oraz o tym, jak trudna jest wtedy diagnoza. Po czym opowiedział długą historię o jednym pacjencie, który po wypadku był nieprzytomny przez trzy tygodnie, a potem na jakiś czas utracił wzrok. Cała ta opowieść nie była specjalnie pocieszająca i w końcu Lorinda doszła do wniosku, że doktor niewiele wie o urazach, jeśli nie są one otwartymi ranami.

Kiedy odjechał, Lorinda poszła na górę do sypialni Durstana i z rozpaczą patrzyła, jak leży bez ruchu, milczący i niedostępny.

Ostoją dla niej był w tym czasie jego osobisty lokaj, duży, żylasty chłop, zwany Gribbon, który od wielu już lat towarzyszył swemu panu.

- Pan wyzdrowieje, milady - powiedział, widząc jej przybite spojrzenie. - Opiekowałem się nim, gdy miał malarię, tyfus i wiele innych okropnych hinduskich przypadłości, a kiedy się kończyły, pan zrywał się z łóżka jak skowronek!

- Jest taki blady - mruzczała Lorinda. - I tak bardzo wychudł.

- Kiedyś w Indiach po ataku choroby z pana została tylko skóra i kości - radośnie oświadczył Gribbon - ale zaraz potem wrzucił wszystko z powrotem na siebie, jeśli wolno mi się tak wyrazić! Proszę się nie martwić, jaśnie pani, postawimy go znowu na nogi -

W tej części świata, a prawdę mówiąc, w całej Anglii, nic można było znaleźć żadnej pielęgniarce. Pozostawały jedynie wiecznie pijane stare akuszerki, których żadna szanująca się rodzina nie wpuściłaby w progi swego domu.

Lorinda zdecydowała więc, że opieka nad mężem należeć będzie do jej obowiązków. Jednakże Gribbon miał na ten temat odmienne zdanie i w końcu Lorinda zmuszona była przekazać mu wiele z tego, co uważał za „swoje przywileje”. Każdego ranka Gribbon mył i oporządzał Durstana, podczas gdy ona spała po nocy spędzonej na czuwaniu przy mężu. W

porze podwieczorku, po spacerze w ogrodzie z Brutusem i Cezarem, wracała, jak to nazywał, „na służbę”. Było ważne, aby zażyła trochę świeżego powietrza.

- Nie możemy pozwolić, żeby nam się pani wykończyła - mawiał Gribbon z udaną surowością niani strofującej niesforne dziecko.

To także Gribbon wpadł na pomysł, że Durstan - mimo że jest nieprzytomny i nie docierają do niego głosy - może usłyszy na przykład muzykę.

- Dlaczego jaśnie pani czegoś mu nie zagra?

- Masz na myśli fortepian?

- Pan bardzo lubi muzykę. Zawsze lubił.

- Nie wiedziałam - mruknęła Lorinda.

- W Indiach była jedna dama, której grania bardzo lubił słuchać. Bardzo była zdolna. Nigdy nic nie wiadomo. Chociaż wydaje się, że jest daleko od nas, może jednak dotrze do niego melodia, nawet jeśli nie słyszy naszych głosów.

Lorinda kazała przynieść na górę fortepian i ustawić go w buduarze usytuowanym pomiędzy „komnatą króla” i „królowej”. Po sposobie urządzenia pokoju widać było, że przeznaczono go dla kobiety. Wskazywał na to dobór tkanin na zasłony; nie było nic męskiego w tych delikatnych, pastelowych kolorach. Natomiast piękne meble przypominały, a także dopełniały wyposażenia jej własnej sypialni.

Instrument postawiono w rogu. Drzwi do pokoju Durstana zostawiła otwarte, chcąc widzieć go, kiedy będzie grała. Było mało prawdopodobne, że dorówna damie, która grała mu w Indiach. Poczowała ukłucie zazdrości, kiedy zastanawiała się, kim też mogła być ta pani. Nie wyglądało na to, że była jedną z ciemnookich hurys umilających jego samotność.

- Tak mało o nim wiem - powiedziała z westchnieniem i dodała, że wie głównie to, iż ją ganił i nie pochwalał tego, co robiła.

Ale równocześnie pragnął ją poślubić i teraz, kiedy już go kochała, zaczęła modlić się gorąco, żeby chęć posiadania Priory i arystokratycznej żony nie była jedynym powodem ślubu. Patrząc na niego, jak leży w łóżku nieruchomy, doszła do wniosku, że niemożliwe, by był człowiekiem gorzej urodzonym niż ona. Nie było w nim nic pospolitego ani plebejskiego,

Minął tydzień od wypadku. Lorinda wróciła właśnie ze spaceru z psami.

- Piękny mamy dziś dzień - zagadnęła kamerdynera, wchodząc do holu. - Przyjechał jakiś dżentelmen z Londynu i chce rozmawiać z panem. Powiedziałem, że pan niedomaga. Byłby wdzięczny, gdyby jaśnie pani zechciała go przyjąć.

- Dżentelmen z Londynu? - Lorinda powtórzyła ze zdziwieniem.

- Wydaje mi się, że prowadzi z panem interesy.

- Może zechce rozmawiać z panem Ashwinem? - zaproponowała Lorinda. Uważała, że zarządca lub sekretarz Durstana lepiej zajęliby się tą sprawą.

- Nie, pani. Dżentelmen upiera się, żeby rozmawiać z panem lub z panią.

- Dobrze więc, przyjmę go.

Była zniecierpliwiona, ponieważ bardzo śpieszyła się na górę, aby sprawdzić, jak czuje się pacjent. Kamerdyner poprowadził ją do biblioteki, gdzie na jej widok podniósł się starszy, siwiejący mężczyzna.

- Dzień dobry - powiedziała uprzejmie.

- Wnoszę; że mam zaszczyt z lady Lorindą Hayle.

- Tak, to ja!

- Reprezentuję firmę Hickman, Links i Hickman - wyjaśnił mężczyzna. - Nazywam się Ebenezer Hickman. Działamy jako adwokaci lorda Penryna.

Lorinda wyglądała na zdziwioną.

- Lord Penryn? - spytała. Pan Hickman uśmiechnął się.

- Sądzę, że ciągle jeszcze używa nazwiska Durstan Hayle, które przyjął przed opuszczeniem Anglii; w rzeczywistości to lord Penryn. Jest nim już od sześciu lat!

Lorindzie zaparło dech w piersiach.

- Czy pan chce powiedzieć, że mój mąż jest lordem Penrynem? - zapytała. - Z tej samej rodziny, do której należał ten zamek?

- Pani mąż odziedziczył tytuł po śmierci ojca, lecz w tym czasie przebywał w Indiach. Rozumiem, że po powrocie zdecydował się nie używać tytułu.

- Dlaczego? Pan Hickman znowu się uśmiechnął.

- Jestem pewny, że jego lordowska mość wolałby sam opowiedzieć pani tę historię. Jak rozumiem, między nim a jego ojcem powstało jakieś nieporozumienie dotyczące tego, czy w poszukiwaniu fortuny powinien opuszczać Anglię.

Przerwał na chwilę. - Starszy dżentelmen był wtedy bardzo zagniewany i wydaje mi się, że oskarżył syna o chęć zrobienia z rodzowego nazwiska użytku w interesach. Pan Hickman uśmiechnął się ponownie. - Znając męża, doskonale zdaje sobie pani sprawę, że nic nie mogło go bardziej rozgniewać. Przybrał imię Durstan Hayle i zrobił fortunę bez pomocy rodzowego nazwiska.

Lorinda miała trudności z wydobyciem głosu. Jedyne, co teraz pamiętała, to drwiny, jakie robiła sobie z Durstana, sądząc, że ożenił się z nią dla arystokratycznego nazwiska. Camborne'owie byli starą kornwalijską rodziną, jednak ani nie tak starą, ani tak szacowną jak Penrynowie, mimo że mieli wyższy w hierarchii tytuł. Penrynowie byli częścią historii Konwalii; sława o ich znakomitych czynach rozbrzmiewała przez stulecia. Z niejakim trudem Lorindzie udało się powiedzieć:, - Panie Hickman, dlaczego chciał pan zobaczyć się ze mną?

Z czarnej teczki, którą przyniósł ,ze sobą, starszy pan wyciągnął kilka papierów, wyglądających na jakieś dokumenty.

- Mam tutaj papiery przygotowane zgodnie z instrukcjami jego lordowskiej mości - powiedział. - Na dokumentach tych konieczne są podpisy pani oraz jego lordowskiej mości.

- Co to za dokumenty? - zapytała.

Teraz pan Hickman wyglądał na zdziwionego.

- Jest to akt darowizny stu tysięcy funtów, które jego lordowska mość przekazał jaśnie pani bezwarunkowo, oraz akty własności dotyczące domu w Londynie, który został przeznaczony do użytku jaśnie pani w dożywocie.

Lorinda czuła, że każde słowo, które wypowiadał adwokat, było ciosem w samo serce. Durstan zwracał jej niezależność! Durstan poczynił przygotowania, które pozwolą mu się od niej uwolnić!

Pokój zawirował jej przed oczami i musiała oprzeć się o biurko, żeby utrzymać równowagę.

- Nie chcę... tych pieniędzy... ani tego domu.

Adwokat popatrzył na dokumenty.

- Rozumiem, co pani czuje, ponieważ od niedawna jest pani mężatką. Wydaje się pani, że nigdy nic nie stanie między panią i mężem, że jak w bajce będziecie żyli długo i szczęśliwie.

Przerwał na chwilę, potem dodał:

- Ale ja żyję już długo i doszedłem do wniosku, że mądrze jest, aby kobieta była niezależna. Cokolwiek się wydarzy w przyszłości, jakiegokolwiek staną na pani drodze przeszkody, będzie zawsze pani sobie sterem i okrętem i będzie pani miała własny dach nad głową.

Pan Hickman nie chciał być niegrzeczny, Lorinda wiedziała o tym. Mówił po przyjacielsku, tak jak starszy mężczyzna może mówić do porywczej, młodej dziewczyny,

która nie ma pojęcia o problemach i trudnościach związanych z małżeństwem. Pomyślała także, że adwokat może zdawać sobie sprawę, iż Durstan nie tylko potrafi być człowiekiem trudnym, ale także bywa nieobliczalny.

Od czasu kiedy się poznali, nie przestawał jej zaskakiwać. Jednakże ta niespodzianka była ze wszystkich największa. A więc miał już wszystko przygotowane, żeby zwrócić jej wolność, pozwolić jej odejść po tych wszystkich trudach, jakie sobie zadał, chcąc ją poślubić.

Pomyślała o tym, z jaką radością jeszcze tydzień temu przyjęłaby ten podarunek. Wzięłaby pieniądze, podziękowała za dom i wróciła do Londynu, pozostawiając za sobą całą nienawiść.

Ale teraz wszystko wyglądało inaczej! Nie mogła wyjechać! Prawdę mówiąc, wiedziała, że na pewno nie wyjedzie!

Podjęła decyzję.

- Panie Hickman, chciałabym panu podziękować, że się pan do nas pofatygował - powiedziała. - Przykro mi, że naraził się pan na tak długą podróż nadaremnie, ale mąż mój miał bardzo poważny wypadek i dopóki nie wyzdrowieje i nie będę mogła przedyskutować z nim tej decyzji, nic nie mogę zrobić.

- Kamerdyner poinformował mnie, że jego lordowska mość jest zbyt chory, żeby mnie przyjąć - powiedział pan Hickman.

- Oczywiście, że w tych okolicznościach nie mogę uczynić nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż poczuje się lepiej.

- Jeszcze raz dziękuję, że pan przyjechał - odparła Lorinda. - Mam nadzieję, że nie odmówi pan posiłku przed podróżą, a jeśli zechce pan zostać na noc, to oczywiście będzie pan miłym gościem.

Jeszcze kiedy dziękował, wycofała się szybko z pokoju i pośpieszyła na górę do „komnaty króla”. Towarzyszył jej

paralizujący lęk; że być może drzwi już teraz są przed nią zaryglowane i nigdy więcej nie będzie mogła zobaczyć Durstana.

Weszła do pokoju. Gribbon, który siedział obok łóżka, skoczył na równe nogi.

- Odzyskał przytomność, jaśnie pani!

- Kiedy?

- Pół godziny temu.

- Naprawdę wróciła mu świadomość?

- Tak, jaśnie pani. Był trochę oszołomiony, choć mówił całkiem do rzeczy.

- Co powiedział? - zapytała.

- Powiedział tylko: „Co się ze mną, do diaska, stało, Gribbon?” Dałem mu się napić i z powrotem zasnął.

- To znaczy, że jego głowa nie ucierpiała - powiedziała prawie bez tchu.

Osunęła się na kolana obok łóżka. Jej serce śpiewało hymn wdzięczności.

- Dzięki ci, Boże... dzięki ci! - wyszeptała.



## Rozdział 7

Lorinda zakończyła grę delikatnym akordem, wstała od fortepianu i przeszła do „komnaty króla”. Durstan siedział w fotelu. Kiedy do niego podeszła, zorientowała się, że śpi. Tego ranka był już na przejażdżce bryczką i choć mu sugerowała, że powinien odpocząć, odmówił zniecierpliwiony.

Wcześniej, na początku tygodnia, doktor oświadczył, że nie widzi już potrzeby dalszych wizyt.

- Mąż pani jest zupełnie jak nowy - oznajmił, i zaśmiał się z własnego dowcipu. - Ale przez tydzień lub dwa musi jeszcze na siebie uważać. Zalecam mnóstwo świeżego powietrza, lecz umiar w konnej jeździe - udzielał ostatnich porad, gdy siedział już w swojej wysłużonej dwukółce, sławnej w całej okolicy.

Nie było jednak łatwo przekonać Durstana, żeby stosował się do tych zaleceń. Kiedy był jeszcze słaby i leżał w łóżku, Lorinda mogła postawić na swoim, lecz teraz robił znowu to, co chciał.

Patrząc na pogrążonego we śnie męża, myślała, że z każdym mijającym dniem kocha go coraz bardziej, dlatego że jej potrzebuje, a ona może ofiarować mu miłość i otoczyć go opieką, która nigdy nikomu nie była potrzebna.

Chociaż po tygodniu od wypadku odzyskał przytomność i zdołała nakłonić go, żeby coś zjadł, Durstan w dalszym ciągu był bardzo osłabiony. Czasami nachodziły ją złe myśli, że może wymknąć się jej we śnie, a ona za późno odkryje, że serce przestało mu bić.

Niekiedy doznawała tego samego uczucia lęku, jak wtedy, na skałach, kiedy mocno tuliła się do niego w przeświadczeniu, że może przekazać mu trochę swojej siły, że życiodajna energia, która z niej emanuje, utrzyma go przy życiu.

Durstan powoli powracał do zdrowia. Jeżeli nawet (jak podejrzewał doktor) miał złamane jakieś żebra, to pewnie się

już zrosły, zniknęły też sińce i zablizniła się okropna rana na czole. Nie przejawiał ochoty do rozmów, a choć nigdy się nie skarżył, Lorinda odnosiła wrażenie, że miewa silne bóle głowy. Lubił, kiedy dla niego grała. Słuchał, a muzyka - tak jak i tym razem - kołysała go do snu.

Lorinda starała się chronić go przed wszystkim, co mogłoby go martwić lub niepokoić. Z pomocą zarządcy, pana Ashwina, sprawowała pieczę nad posiadłością. Podejmowała decyzje i wydawała takie polecenia, które - jak się jej zdawało - mąż by zaakceptował. Ale postanowiła nie omawiać z nim żadnych spornych spraw, dopóki jego stan faktycznie się nie poprawi. Opowiadała mu tylko, co się dzieje w stajniach i przynosiła z ogrodu ogromne bukiety kwiatów. Czasami lubił słuchać, kiedy mu czytała.

Pewnego razu zapytał ją:

- Kto cię nauczył tak dobrze grać?

- Pochlebiasz mi! - odparła z uśmiechem. - Wiem, że mam duże braki. Kiedy miałam dwanaście lat, wynajęłam nauczyciela, ale były takie chwile, kiedy ojciec decydował, że nas na to nie stać. Wtedy musiałam czekać, aż wróci dobra passa papy i będę mogło znowu zatrudnić nauczyciela.

- Wiec sama decydowałaś o swojej edukacji - powiedział powoli.

- Żałuję, że nie wiedziałam, jak ważna jest wiedza - odparła z westchnieniem.

Dalej opowiedziała mu, jak w czasie jego choroby, kiedy spał większą część czasu, poszła do biblioteki, żeby poszukać jakiejś książki do czytania.

- Przeraziła mnie liczba książek i świadomość tego, jak mało wiem - powiedziała z uśmiechem.

- Którą z nich wybrałaś? - zapytał.

- Stwierdziłam, że bardzo mało nauczyła mnie o świecie moja jedyna, źle opłacana guwernantka.

- Od czego więc zaczęłaś swoją naukę? - chciał wiedzieć Durstan.

- Zaczęłam od Indii, ponieważ ty... - Lorinda przerwała.

Zorientowała się, że to, co miała właśnie zamiar powiedzieć, mogłoby ją zdradzić, dodała więc pośpiesznie:

- Ponieważ Gribbon tak wiele mówił o tym kraju, więc wzbudził on moje zainteresowanie.

Nie powiedziała mu, że książka, którą znalazła w bibliotece, była ilustrowana znakomitymi obrazami rajpuckich tancerek. Kiedy na nie patrzyła, jej serce przeszywała zazdrość, ponieważ sądziła, że ten właśnie typ urody Durstan ceni najbardziej.

Bez względu na to, czy mu się podobała, czy nie, wiedziała, że jest mu potrzebna i nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa niż teraz, kiedy go pielęgnowała, czekała na niego, spełniała każde jego życzenie. Czyli dokładnie to, czego zawsze pragnęła od życia. Żeby ktoś jej potrzebował, żeby mogła ofiarować komuś drogiemu nie tylko urodę, ale także prawdziwą siebie.

Teraz bardzo ostrożnie oddaliła się od fotela Durstana i usiadła w pobliżu. Patrzyła na niego z przeczuciem, że coś się kończy, ucieka jak piasek w klepsydrze, i obawiała się, że może przyjść taki moment, kiedy nie będzie mogła już na niego spoglądać. Teraz stale towarzyszyło jej uczucie strachu, które zaszczepiła w niej wizyta pana Hickmana i dokumenty zwracające jej wolność. Jeszcze nie wspomniała o tym Durstanowi, ale wiedziała, że bliski jest ten dzień, kiedy będzie musiał się dowiedzieć.

- Kocham go! - powtarzała sobie. - Boże, spraw, żeby choć trochę mnie pokochał lub żeby mnie potrzebował, tak jak potrzebował przez ostatni miesiąc.

Obiad już się kończył. Kucharz przeszedł dziś samego siebie, ponieważ Durstan po raz pierwszy od wypadku

spożywał posiłek na dole. Żaden mężczyzna nie wyglądał tak dostojnie jak on w swoim wieczorowym stroju. Odnosiło się też wrażenie, że czuje się równie dobrze jak przed wypadkiem. Był trochę szczuplejszy i na czole pozostała jeszcze mała blizna. Poza tym w wieczorowym surducie z błękitnej satyny, ze starannie zawiązaną krawatką i przypiętą do koszuli spinką rzucającą blaski diamentu wyglądał niezwykle elegancko i wydawał się jej atrakcyjniejszy od wszystkich mężczyzn, jakich do tej pory widziała w życiu.

Ona także bardzo starannie wybrała garderobę. Włożyła suknię, która - jak sądziła - będzie mu się podobała. Prawdę powiedziawszy, przypominała trochę jej ślubną sukienkę. Była biała, a drapowania spódnicy spinały białe kamelie, które miała także wpięte w skromną, twarzową fryzurę.

Podniosła się od stołu i przeszła do salonu. Durstan podążył za nią. Kamerdyner umieścił na bocznym stoliku karafkę porto i brandy, po czym zostawił ich samych. Ale Durstan nie zajął się drinkami. Przez chwilę stał i patrzył na nią, zanim powiedział:

- Muszę ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś!
- Podziękować mi? - zdziwiła się Lorinda.
- Powiedziano mi, że kiedy spadłem z urwiska, zeszłaś po skałach na dół i zostałaś przy mnie całą noc.

Lorinda nic nie mówiła, więc zapytał:

- Dlaczego to zrobiłaś?
- To była... moja wina. Nie powinnam była spacerować z Cezarem... w pobliżu... krawędzi.

- Ocaliłaś mi życie, Lorindo! Czy chciałaś, żebym żył? -  
Tak.

- Dlaczego?

Lorinda nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, nie potrafiła też znaleźć odpowiednich słów, żeby mu odpowiedzieć. Po krótkiej chwili Durstan sięgnął po stojące obok fotela pudełko.

- Mam tu dla ciebie prezent jako podziękowanie za troskę, za wszystko, co dla mnie robiłaś, kiedy byłem chory - powiedział zmienionym głosem. - Nie chcę... - zaczęła, lecz głos jej zamarł, ponieważ Durstan otworzył pudełko.

Bo oto w futerale wyłożonym aksamitem leżał szmaragdowy naszyjnik jej matki. Ten sam, który był jedyną rzeczą, jakiej naprawdę żałowała, sprzedając w Londynie dom.

- Ty... go kupiłeś! - krzyknęła zbita z tropu. - Dla ciebie. Kiedy to mówił, wziął w ręce naszyjniki wyciągnął go w jej kierunku. Pozwoliła go sobie nałożyć, po czym odwróciła się, żeby mógł zamknąć zapięcie.

- W jaki sposób... mogłeś go kupić... dla mnie? - zapytała.  
- Przecież jeszcze wtedy... mnie nie znałeś.

- Widziałem cię na balu w Hampstead, kiedy wystąpiłaś jako Lady Godiva.

- Ty... tam byłeś?

Okrzyk był zduszony i jednocześnie zapłonęły jej policzki.

- Byłem tam! - Powiedział to głosem, który zabrzmiał cokolwiek ponuro.

- Byłeś... zaszokowany?

- Przerażony, to lepsze słowo!

- W takim razie, dlaczego... mnie... poślubiłeś? Nie... rozumiem.

- Dopiero co wróciłem do Anglii i nie spodziewałem się tak drastycznych zmian w tutejszych obyczajach, Założyłem się z moim przyjacielem lordem Charltonem.

Przez moment zaległa cisza. Potem ledwo słyszalnym głosem Lorinda zapytała:

- O co... był zakład?

- Że poskromię tygrysicę. On twierdził, że to niemożliwe.

Lorindzie zaparło dech w piersiach. Zaczynała wszystko rozumieć i przeżywała udrękę, jakiej nigdy w życiu nie

doznała. Starła się nie patrzeć na Durstana, uspokoić głos i mówić, jakby nic się nie stało, jakby nie cierpiała katuszy, jakby ból nie wzrastał z minuty na minutę.

- A więc... to był... tylko... eksperyment?

- Tak jak powiedziałaś, eksperyment! - zgodził się.

Ponieważ wszystko zaczynało się układać, wszystkie elementy trafiały na swoje miejsce, powiedziała głosem, który nawet jej samej wydał się obcy:

- Jakiś dżentelmen... pan Hickman był tutaj... kiedy byłeś chory.

- Spodziewałem się tego.

- Powiedział mi, że naprawdę jesteś... lordem Penrynem.

- Spodziewam się, że opowiedział ci także, dlaczego wyjeżdżając za granicę zmieniłem nazwisko.

- Nie masz zamiaru... przyjąć z powrotem prawdziwego tytułu i zająć swojego miejsca... w Izbie Lordów?

Przez chwilę panowała cisza, potem Durstan odpowiedział:

- Mógłbym to może zrobić, gdyby urodził mi się syn. Lorinda poczuła, jak pokój zawirował dookoła niej.

To nie była odpowiedź, której się spodziewała.

- Pan Hickman powiedział mi... że zamierzasz przeznaczyć dla mnie... pewną sumę pieniędzy... i ofiarować mi dom... w Londynie.

- Akty własności są tutaj i czekają na nasze podpisy.

- Dlaczego... to robisz? Czy zamierzasz może... mnie odesłać?

Powiedziała to z największym trudem i ponieważ poczuła, że do oczu napłynęły jej łzy, podeszła do małego stolika, na którym stała ogromna waza z kwiatami. Wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć. Wiedziała, że nie odważy się spojrzeć na Durstana i że każdy nerw jej ciała jest napięty do granic wytrzymałości w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

Cisza, która zapadła, była przerażająca. Po chwili, nie mogąc już dłużej znieść niepewności, Lorinda powiedziała:

- Dostałam... wczoraj... list od papy. Jest bardzo... szczęśliwy w Irlandii. Sądzę, że nigdy nie będzie chciał... tu powrócić.

- Ale ty masz w Londynie wielu przyjaciół.

Pomyślała o tych, których uważała kiedyś za swoich przyjaciół, i o tym, jacy byli wobec niej nielojalni, kiedy znalazła się w tarapatkach. Była pewna, że nigdy więcej nie chce ich widzieć. Wiedziała także, że nigdy nie mogłaby wrócić do Londynu po tym, jak mieszkała tu, w zamku. Nie zniosłaby teraz życia, które kiedyś wydawało się jej zabawne.

Miała uczucie, że mąż ma zamiar powiedzieć, iż nie jest mu już potrzebna. Każdy nerw jej ciała napinał się w oczekiwaniu na cios, na słowa, które pogrzebią jej ostatnią nadzieję na szczęście.

- Czy chcesz... mnie odprawić?

Zmusiła się, żeby zadać to pytanie, nie mogąc dłużej znieść niepewności, czując, że zaraz zacznie krzyczeć, jeśli nie powie jej, co zamierza.

- Podejdź do mnie, Lorindo!

W tonie jego głosu znów zabrzmiała władcza nuta, którą tak dobrze знаła. Resztki dumy kazały jej walczyć ze łzami, które wypełniły jej oczy. On nie może dowiedzieć się, co czuje. Nie wprawi go w zakłopotanie, błagając o litość!

- Powiedziałem ci, żebyś tu podeszła - powtórzył.

A ponieważ przyzwyczaiła się już spełniać jego życzenia, odwróciła się posłusznie. Ledwie widziała męża przez łzy, ale powstrzymała je i szła w jego kierunku z wysoko podniesioną głową.

- Zwracam ci wolność - powiedział cicho Durstan. Popatrzyła na niego dziko. Wtedy napięcie nagle spadło i runęły ostatnie bariery oporu.

- Ale ja nie chcę... wolności! Chcę zostać z tobą! Proszę... nie odsyłaj mnie!

Dławiła się łzami i ledwo można było odróżnić poszczególne słowa. Tracąc resztki dumy i samokontroli, szlochała:

- Będę... ci posłuszna... zrobię wszystko... co zechcesz... tylko pozwól mi... zostać. Proszę... pozwól mi... zostać.

Ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co robi, i z pewnością padłaby przed nim na kolana, gdyby nie otoczył jej ramionami i nie przyciągnął blisko do siebie. Ukryła twarz na jego ramieniu i szlochała bezradna jak dziecko.

- Dlaczego chcesz ze mną zostać? - zapytał miękkim głosem.

- Ponieważ... Kocham cię! Kocham cię... szalenie! Kiedy padły te słowa, coś w głębi duszy powiedziało jej, że oto nadszedł moment, kiedy Durstan może wreszcie ukarać ją za nienawiść i opór, za to, że we wszystkim mu się sprzeciwiała od momentu, kiedy się Spotkali. Mógł ją wyśmiać i wiedziała, że jeśli to zrobi, nie pozostanie jej nic innego, jak tylko umrzeć.

Poczuła, jak mocniej objął ją jednym ramieniem, drugą ręką ujął podbródek i podniósł jej twarz ku swojej. Usta jej drżały i wcale go nie widziała przez łzy spływające po policzkach, ale wiedziała, że patrzył na nią długą chwilę, zanim powiedział:

- Jest jeszcze jeden eksperyment, którego nie przeprowadziłem, a mianowicie, nie pocałowałem kobiety, którą Kocham!

Poczuła jego wargi na swoich ustach, zanim zrozumiała sens tych słów. Nagle łzy przestały płynąć z jej oczu i znikło całe uczucie nieszczęścia. Było to przeżycie wyjątkowe, doskonałe, w tym jednym akcie wyraziła się wielka miłość, która wzbierała w niej w ciągu ostatnich tygodni. Durstan



przytulał ją coraz mocniej. Jego usta stawały się coraz bardziej zaborcze, bardziej wymagające.

To nie była tylko miłość... to było życie, to była święta moc pochodząca od Boga, o którą modliła się w rozpacz. Czowała, jak upojenie i cudowność tej chwili wstrząsają jej ciałem. Fala za falą zmywa jej opór i uczucie bycia nie chcianą. Wydawało się jej, że powietrze wypełniła anielska muzyka, a wszystko, co piękne, pulsowało między nimi, aż stawali się jednością.

Durstan podniósł głowę, chcąc popatrzeć na jej promieniejące oczy i drżące usta.

- Kocham... cię! - wyszeptała. - Och, Durstanie... kocham cię!

- Czy naprawdę myślałaś, że pozwoliłbym ci odejść? - powiedział zachrypniętym głosem.

Potem znowu zaczął całować ją porywczo, namiętnie, chciwie i cały świat przestał istnieć, zniknął. Została tylko ich miłość, jedność ich serc.

Lorinda wstała i cicho przeszła przez ciemny pokój w kierunku okna. Prześlizgnęła się za zaciągnięte zasłony i stanęła w otwartym oknie.

Wysoko nad jej głową gasły gwiazdy. Za kilka chwil wstanie świt. Przepełniona szczęściem głęboko wciągnęła do płuc powietrze i w tym momencie poczuła, że Durstan obejmuje jej kibić. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Wydawało mi się... że śpisz.

- Jak mógłbym nie wiedzieć, że mnie opuściłaś?

Przysunęła się bliżej do niego i powiedziała:

- Chciałam zobaczyć wstający świt. To jest... początek... nowego życia.

- Dla nas - powiedział miękko.

- Ty... mnie kochasz?

- Bardziej niż to jeszcze potrafię wyrazić.

- I... podobam ci się... trochę?

- Nigdy nie widziałem piękniejszej twarzy niż twoja ani bardziej doskonałego ciała niż twoje!

Lorinda wstrzymała oddech. Przeszył ją dreszcz rozkoszy.

- Ale jest jeszcze coś więcej niż twoja uroda - ciągnął dalej. - Coś, co mi przekazujesz i co dopełnia mnie samego. Coś, czego nikt nigdy mi nie ofiarował.

Lorinda odwróciła głowę i ustami dotknęła jego ramienia. Wiedziała, o czym mówił. To właśnie usiłowała mu przekazać, kiedy obawiała się o jego życie. Myśl o tym, że mogła go wtedy stracić, sprowokowała pytanie:

- I nie przestaniesz mnie... kochać?

- Dopiero zaczęliśmy się kochać w tym życiu, ale w przeszłości byliśmy już razem w bardzo wielu innych życiach.

- Czy naprawdę w to wierzysz?

- Zbyt długo mieszkałem na Wschodzie, żeby nie wierzyć w przeznaczenie, los i reinkarnację.

Podniosła głowę do góry, chcąc spojrzeć na niego, ale w mroku poranka zobaczyła tylko niewyraźny zarys jego profilu na tle nieba.

- Czy wiedziałeś to... kiedy pierwszy raz... mnie zobaczyłeś?

- Wiedziałem, że do mnie należysz, że jesteś kobietą, na którą czekałem wiele, wiele lat.

- Pomimo że cię... zaszokowałam?

- Właśnie to mnie zaszokowało, że inni mężczyźni patrzą na twoje ciało, podczas kiedy ono należy do mnie razem z całą doskonałą resztą. Nie mogłem tego znieść.

Drgnęła na dźwięk pasji w jego głosie. Ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi.

- Ja tak naprawdę... wcale nie byłam... naga. Oszukiwałam ich... chciałam, żeby tak myśleli - powiedziała.

- A kiedy stanęłaś przed Parysem, chcąc zdobyć złote jabłko?

- To było kłamstwo. Chcieli myśleć, że to byłam ja... ale w rzeczywistości mnie tam... nie było.

Poczuła, jak Durstan odetchnął z ulgą, jakby uwolnił się od ciężaru.

- Dlaczego stanęłaś do tego... zakładu?

- Ponieważ podświadomie wiedziałem, że pod okropnym zachowaniem, przesadą i lekceważeniem wszelkich konwenansów kryłaś się ty, kobieta, którą już wielbiłem w głębi serca.

- Skąd to... wiedziałeś? - spytała. - Kochanie, tak mi wstyd, że nie poczułam tego samego, kiedy cię zobaczyłam.

Objął ją ramionami jeszcze mocniej i przytulił do siebie.

- Masz teraz bardzo dużo czasu, żeby mi pokazać, jak bardzo jest ci przykro - odparł. - Pamiętaj, całe życie!

- Każdego dnia będę cię coraz bardziej kochała. Wszystko, czego pragnę... to dawać ci... siebie i... moją miłość - przyrzekała namiętnie.

Durstan całował jej włosy.

- Prawdę mówiąc, wcale nie wygrałem zakładu. Jestem gotowy przyznać się do porażki - powiedział.

- Do porażki? - wykrzyknęła.

- Stwierdzam, że nie można poskromić tygrysy, która ma rude włosy i migocące w ciemnościach zielone oczy.

Poczuł, że zadrżała, po czym szepnęła:

- Czy nie jesteś zgorszony, że tak bardzo... cię kocham i że kiedy mnie dotykasz... tak szalenie mnie to rozpala?

Pocałował ją w czoło.

- To jest wspaniałe, doskonałe, niezwykle i chce żebyś zawsze to czuła - powiedział. - Ale ostrzegam cię...

Zanim dokończył, zacisnął palce na jej smukłej szyi:

- Jeśli kiedykolwiek zobaczę w spojrzeniu jakiegoś mężczyzny cokolwiek innego niż szacunek, zabiję go, a ciebie uduszę! Jestem zazdrosny do obłądu!

Lorinda śmiała się ze szczęścia.

- Nie boję się! Jeśli na całym bożym świecie istnieje jeszcze jakiś mężczyzna, to ja go nigdy nie spotkałam. Jesteś tylko ty... i ty... i ty.

Zbliżyła swoje usta do jego i ostatnie słowa wymówiła już na jego wargach. Przyciągnął ją w miążdżącym uścisku, całując z niepowstrzymaną namiętnością, która pod wpływem jej reakcji rozpałała się nowym płomieniem.

Świt rozlał się złotem po horyzoncie, rozpychając się pośród nocnych ciemności, i spowił ich świetlista poświata. Lorinda objęła Durstana za szyję i przyciągnęła jeszcze bliżej do siebie. Potem, kiedy mogła już dojrzeć wpatrując się w nią oczy, powiedziała z lekkim zająknięciem:

- Nastał nam nowy dzień... mój najdroższy wspaniały mężu!

- Nowy dzień - powtórzył Potem wyszeptał tuż przy jej ustach.

- Spójrz na mnie, myśl o mnie, pragnę cię! Wziął ją na rękę.

- Jesteś moja, najukochańsza! Całkowicie i zupełnie moja, teraz i przez resztę wieczności!

Trzymając w żarliwej niewoli jej usta i ciało, zaniósł ją do łóżka.